

Odgłosy

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 11 (1407) ROK XXVIII

16 MARCA 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Warszawa, sobota
- 9 marca, godzina 12.15
- Wybory zdrowego rozsądku
- Skąd nasz ród
- Ewy pracują w Raju
- Nie boję się przyszłości
- Droga prosta jak wiersz

Czy nasze leczenie da się zreformować? (2)

Na co czekamy?

W poprzednim numerze „Odgłosów” opublikowaliśmy pierwszą część dyskusji o tym, jak lepiej, racjonalnie, skuteczniej leczyć ludzi wydając na ten cel tylko te pieniądze, jakie zostały na ochronę zdrowia przeznaczone.

W dyskusji tej wypowiedzieli się:
— **WŁADYSŁAW GOS** — zastępca dyrektora do spraw specjalistycznej opieki, medycznej w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika,
— **EDWARD LENKOWSKI** — zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi,
— **TADEUSZ LEWY** — ordynator oddziału chorób wewnętrznych w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika,
— **RYSZARD MACHNIKOWSKI** — lekarz wojewódzki, dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi,
— **JANUSZ NAPIERAŁSKI** — dyrektor Przedsiębiorstwa Zaoptowania Farmaceutycznego „Cefarm”,
— **ZENON TORZECKI** — profesor, przewodniczący Komisji Zdrowia, Ochrony Środowiska i Kultury Fizycznej Rady Narodowej Miasta Łodzi.

ODGŁOSY: — W pierwszej części naszej dyskusji zajęliśmy się analizą stanu i sposobu funkcjonowania systemu ochrony zdrowia w Polsce. Mowa była o leczeniu podstawowym i jego niedostatkach. Stwierdzono zostało, że lekarze pierwszego kontaktu są niedostatecznie jeszcze przygotowani do swej pracy, choć to się już zmienia, że są słabo wyposażeni w urządzenia diagnostyczne, zbyt często kierują chorych do specjalistów. Mowa była również o tym, że przy braku aparatury diagnostycznej należałoby wykorzystywać ją w specjalnie utworzonych centrach diagnostycznych. I wreszcie o tym, że lekarz powinien dysponować wyczerpującą informacją o cenach i właściwościach ubocznych leków. Prawidłowa gospodarka lekami zależy wszakże i od tego, czy chorego leczyć będzie lekarz rejonowy czy też specjalista.

To wszystko, co zostało powiedziane, pozwoliło ostrzej ująć niedomagania systemu ochrony zdrowia w Polsce. Ale czy obraz ten został już w pełni zarysowany? Tylko częściowo poruszone zostały problemy związane z leczeniem szpitalnym. Nie było jeszcze mowy o leczeniu specjalistycznym, o jego organizacji i programach. No, i wreszcie pozostało bez odpowiedzi pytanie zasadnicze, czy można leczyć skuteczniej a taniej?

JAK BUDOWAĆ SZPITALA?

T. LEWY: — Jestem przekonany, że można leczyć taniej i skuteczniej. Mówiłem już o tym poprzednio, że na przykład niemiecka kasa chorych w 1927 roku wydała nawet podgrzeźnik dla lekarzy, w którym prezentowane były sposoby, jak leczyć tanio i dobrze. Chorego leczy się jednak nie tylko w lecznictwie otwartym, ale i w zamkniętym, a więc w szpitalach. Warto zatem zastanowić się, czy my mamy dużo, czy mało łóżek w szpitalach?

Powiem teraz coś mało popularnego. Przed laty, gdy



Godzina w sejfie

MAREK MAMOS

Do sejfu, znajdującego się w piwnicy Banku, schodzi się po wąskich stromych schodach. Jak w kinie. Prowadzi nas dwoje skarbników. Dziewczyna i chłopak, oboje chyba przed trzydziestką, nie pasują do wnętrza. W swym wyglądzie nie mają niczego z zasuszonej powagi i uświęconego sknerstwa. Kratek otwierają oboje jednocześnie. Dziewczyna górnym a chłopak dolnym kluczem. Ten rytuał będzie powtarzany jeszcze wiele razy podczas otwierania innych zamków znajdujących się w skarbcu.

Na początku rozmowy z dyrektorem Januszem Poniatowskim nie przypuszczałem, że kiedykolwiek w życiu będę legalnie czy nielegalnie w sejfie banku Polska Kasa Opieki SA, że będę wi-

dział setki tysięcy dolarów, miliony złotych, że będę trzymał w ręku złote monety, bite w Polsce ze złota próby 950 pięćsetki z wizerunkiem Kościuszki i Pułaskiego.

Przyszedłem tu z zupełnie innego powodu. Jak wiemy w połowie grudnia opublikowano nowe zasady prowadzenia rachunków walutowych ludności. W związku z tym Bank PKO SA wysłał do wielu swoich klientów pisma następującej treści — „Ponieważ rachunek wykazuje saldo poniżej 10 USD, wstrzymujemy wysyłanie wyciągów z konta. Proponujemy dopłatę, wypłatę lub inną dyspozycję”. Co się stanie, jeśli klient nie skorzysta z propozycji? Czy wtedy dolary przepadną? Takie i jeszcze parę innych pytań chciałem zadać dyrektorowi.

Przy wejściu, na schodach zawsze stoją kilku cinkciarzy. Stałych klientów banku witają grzecznie dzień dobry! Dbają o dobrą markę, z tego przecież żyją. Mnie, nieznanego, pytają, czy nie będzie czegoś do wymiany. Na widok dyrektora odwracają wzrok. Nie ma na nich rady. Obowiązujące przepisy mają lukę pozwalającą niemal jawnie, w przedsiönku Banku prowadzić nielegalne interesy walutowe.

W salach bankowych przy ul. Piotrkowskiej 211 nie czuje się wielkiego świata. Zwykle okienka, normalnie,

Ulica

WŁADYSŁAW MALKA

Miasto i przedmieście dzieli tu rzeka. Jest wiele miast i przedmieść, które dzieli rzeka. Czyż rzeka może zresztą coś łączyć? Jeśli tak, to tylko w nielicznych przypadkach, poza tym te nie są mi znane, chociaż do geografii miałem nielichą głowę. W każdym razie nabrałem instynktownej pewności, która z czasem stała się pewnością absolutną, że tu i tam życie toczy się innym rytmem, a nawet ludzie są inni. Teraz wszystko się poplątało, sam widzisz, jak jest, trudno się polapać w tym, kto jest kto. Ale wtedy wszystko było jasne jak na dłoni.

2. Ci, których znałem od dziecka, przypominali wieśniaków, choć nimi nie byli. Możesz mieć całkowitą pewność, że żadnemu z nich nie przyszłoby nawet do głowy, żeby pogadzać sobie o coś takiego. Uważali się za ludzi miasta, chociaż nimi również nie byli. Tak jak rzeka coś przez nich przepływało i dzieliła na pół.

3. Wyjątkiem była pani Majorowa. To nie test nazwisko. Była wdową po przedwojennym majorze, dlatego wszyscy tu mówili: „pani Majorowa”. Inaczej nikt nie powiedział. Do tego stopnia, że nawet nie wiem, jak nazywała się naprawdę. Umarła latem, w okropne upały. Chyba nie mogła tego znieść, bo nie wyglądała na kogoś, kto lada dzień przyłączy się do wieksości. Odkąd pamiętam, aż do końca, wyglądała tak samo. Nieźle się zakonserwowała! Ale to była klasa! Na wszystkich patrzyła jak na powietrze. Nie szła ulicą, lecz żeglowała jak transatlantyk pośród nieważnej drobny. I do końca pozostała wdowa, chociaż do jej willi udawały się wycieczki fagasów. Takich z laszczką, pod krawatem, z przyszytym wasiłkiem. Dziwilo mnie, że wojna ich nie wymiotła.

4. ale chyba czas zrobić swoje, bo w końcu rozolnili się jak eter, a ona ich wszystkich przeżyła.

4. Nieco niżej tej kategorii byli kasjer i jego żona. Kasjer bankowy, oczywiście. Majorowa zatrzymywała się przed ich siatką i zamieniała parę słów. Mieli niezły dom i rozległy pedantycznie utrzymany ogród, którego pielęgnacja pochłaniała im masę czasu. Kasjer z żoną byli zbikowanymi katolikami. Kiedy ich zobaczyłem w niedzielę rano, mogłem być pewien, że zbliża się wpół do szóstej. Udawali się na mszę do kościoła. I tak było dziesiątki lat. Miało się wrażenie, że każdy, kto nie postępował tak jak oni, był dla nich nikim.

5. Zapomniałem, że mieszkał tu także felczer, do którego wszyscy zwracali się per „panie doktorze”. Nie znałem go bliżej, ale stracił u mnie wiele, kiedy pojawił się bizantyjska subtelność tego zwrotu w stosunku do kogoś, kto był zwyczajnym felczerem. Zebyś wiedział! Sporo kiedyś czytałem, wiem, co to było. Bizancjum. Czytam zresztą cały czas. Kiedy nie mam czegoś pod ręką, gotów jestem czytać etykiety na stoikach od dżemu.

6. Kiedy tu przyjechaliśmy, byłem oszołomiony innym światem, trochę się bałem tych ludzi, miasta. Była zima, śnieg przykrywał całą ulicę. Ostrożnie penetrowałem teren. Po drugiej stronie rzeki, na wysokiej skarpcie, ciągnął się betonowy parkan. Za nim było wiele dziwnych budynków z czerwonej cegły i tyle samo nie znanych mi konstrukcji. Nie musiałem długo się przyglądać, żeby dostrzec zielone sylwetki poruszające się po tamtej stronie. To były koszary. Tak więc, na drugim brzegu rzeki, schowane za betonowym długim na kilometr parkanem, tkwiły koszary. Ulica i koszary złączone były niewidzialnymi więzami. Rano dochodził tu sygnał pobudki, który urywał żołnierzom sny. Słychać było hasła komend i tupot setek nóg. Ludzie z ulicy słyszeli także śpiew żołnierzy. Można powiedzieć, że żyli w zasięgu ich śpiewu. O dziesiątej wieczorem w koszarach odzywała się trąbka. Dźwięk trąbki ogłaszającej capstrzyk kładł żołnierzy do łóżek, ale i ludzie mieszkający na tej ulicy instynktownie na niego czekali, żeby zrobić to samo. W każdym razie, gdy ucichał sygnał trąbki, było dla wszystkich oczywiste, że z każdą minutą robi się coraz później. Nie wiem, czy jeszcze gdzieś indziej ludzie zdają sobie sprawę z upływu czasu po godzinie dziesiątej wieczorem, bo ci mieli to we krwi.

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
i zastępca redaktora
naczelnego 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz
Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman
Kubiak, Jerzy Kwieciński,
Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wróńska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałański.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Edward Bryl, Krzysztof
Drzewiecki,

Bohdan Gadomski,
Witold Kasperkiewicz,
J. Stanisław Knypl,

Włodzimierz Krzeźmiński,
Edmund Lewandowski,
Marek Mamos,

Zenon J. Michalski,
Krystyna Namysłowska,
Jerzy Panaszewicz, Ewa
Pankiewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa” —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Piotrkowska 86

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
Instytucji i zakładów pracy: —
zlokalizowane w miastach wote-
wódzkiej i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch”, zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach: —
Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2. dla
indywidualnych prenumerat: —
osoby fizyczne zamieszkałe
każde na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów
RSW „Prasa — Książka — Ruch”
opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli: osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają pre-
numeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora

Wpłaty dokonuje się używając
„blankietu wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” 3. Prenumeratę ze zlecen-
niem wysyłki za granicę przyj-
muje RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Centrala Kolportażu
Prasy i Wydawnictw, ul. Towa-
rowa 28 00-958 Warszawa, kon-
to NBP XV Oddziału w Warsza-
wie nr 1153-201045-139-11. Pre-
numerata ze zleceniem wysyłki
za granicę pocztą zwykłą jest
droższa od prenumeraty krajowej
o 50 proc. dla zleceniodawców
indywidualnych i o 100
proc. dla zleceniodawców Instytucji
i zakładów pracy. Terminy
przyjmowania prenumeraty (na
kraj) za granicę — do dnia 10
listopada na I kwartał i półro-
cze roku następnego oraz cały
rok następnego — do dnia 1 ka-
żdego miesiąca poprzedzającego
okres prenumeraty roku bieżą-
cego.

Zam. 718. P-2.

Konstantin Ustinowicz Czernienko (1911-1985)



Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, państwo radzieckie, cały naród radziecki poniosły ciężką stratę. Odszedł Konstantin Ustinowicz Czernienko — wybitny działacz partyjny i państwowy, patriota i internacjonalista, konsekwentny bojownik o zwycięstwo idealów komunizmu i pokoju na świecie. Całe życie Konstantina Czernienki było bez reszty oddane sprawie partii leninowskiej i narodu radzieckiego. Na wszystkich stanowiskach, na których z woli partii pracował, Konstantin Czernienko walczył niezmiennie, z charakterystyczną dla niego ofiarnością o wprowadzenie w życie polityki KPZR, w której szeregach działał przez ponad 50 lat. Od przywódcy komsomolskiego i sekretarza partii w placówce wojsk ochrony pogranicza do sekretarza generalnego KC KPZR i przewodniczącego prezydium Rady Najwyższej ZSRR — oto droga życiowa Konstantina Czernienki. Na najwyższych stanowiskach w partii

i państwie w pełni ujawnił się jego talent organizatora i przywódcy typu leninowskiego!

Konstantin Czernienko oddawszy całe swe życie wiernej służbie dla partii i narodu radzieckiego na zawsze pozostanie w pamięci komunistów, wszystkich obywateli radzieckich. Pozostanie on w naszej pamięci jako żarliwy propagandzista idei marksistowsko-leninowskiej, jako urozumni i wymagający przywódca, jako człowiek wrażliwy, uważnie reagujący na potrzeby i troski ludzi pracy.

Fragmety odezwy KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i Rady Ministrów ZSRR do partii komunistycznej i narodu radzieckiego wydanej 11 marca 1985 r.

Przeгляд prasy

W tygodnikach tematy lubią chodzić stadami, chociaż już coraz rzadziej robi się „specjalne numery”. „WARMIA I MAZURY” (nr 5 z 1-15 marca 1985 roku), utrzymała w tej tradycji i zrobiła „kobięcny numer”, bo to 8 marca jest Międzynarodowy Dzień Kobiet i wtedy wszystko ma być o kobietach. W „Warmii i Mazurach” sporo jest o kobietach, a z tego polecam rozmowę Grażyny Sokółowskiej z profesorem Marią Jaczynowską o matronach i kurtyzanach. W starożytności oczywiście, bo prof. Maria Jaczynowska jest kierownikiem Zakładu Historii Starożytnej w Instytucji Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ale nas bardziej interesuje kobieta dziś.

CZY KOBIETY LUBIĄ POLITYKĘ?

Z takim pytaniem zwrócił się Andrzej Wiśniewski z „ZYCIA PARTII” (nr 5 z 27 lutego 1985 roku) do Jadwigi Durkiej, która w łódzkiej fabryce przemysłu odzieżowego „Emfor” pełni funkcję I sekretarza KZ PZPR. Oto, co Jadwiga Durka odpowiedziała na to pytanie.

— „Każda kobieta martwi się, żeby w kraju był pokój, żeby mogła spokojnie dzieci wykarmić, ubrać, wychować. To raczej nie jest ta wielka polityka, której nie brakuje w rozmowach i dyskusjach między mężczyznami. Choć kto wie, co naprawdę jest wielką polityką? Pewnie tylko, że jeśli istnieją „babska” specyfika pracy partyjnej, to sprowadza się ona do prostej prawdy: towarzyszkom jest trudniej!”

Funkcję awą Jadwiga Durka pełni od 1981 roku. Była delegatka na zakładową konferencję, nudziły ją modne wówczas spory proceduralne, chciała po przerwie już iść do domu, ale koleżanki nie pozwoliły, a po przerwie zgłosiły jej kandydaturę. I została wybrana, choć inne były kandydatury i inne rachuby.

— „Gdybym zdawała sobie sprawę — mówi dziś — jakiej się podejmuję odpowiedzialności, to nie przyjąłabym tej funkcji!”

Ale stało się i jakoś poradziła sobie w trudnych czasach, a przecież się one jeszcze nie skończyły i dziś mówią o niej w „Emforze”: — „Durka jest nasza”. A to jest wyraz wysokiego uznania. Tylko że od tego zmartwień nie ubywa. Jakże to zmartwień? Ano różnie. Na przykład:

— „Prawdziwy problem, że emeryci są zbiorowością mocno zróżnicowaną. Mamy 40 takich, którzy przez długie lata uczciwie pracowali w bardzo ciężkich warunkach i nadto byli dobrymi aktywistami, dzisiaj są chorzy, z reguły mają niekie emerytury, a nie umieją chodzić koło swoich spraw. Stawiam się im pomagać, zaliczamy bezwzględnie pożyczki, paczki, odwiedzamy ich w domach, ale uważam, że należałoby jeszcze dać im odznaczenia. Już mniejsza o honory, choć to bardzo ważne, ale jeszcze ważniejsze byłoby dodatki z tego

tytułu do emerytur. Niestety, odznaczenia trudno zaliczyć!”

Smutne. A chciałoby się, aby ludzie, którzy całe swoje życie spędzili na uczciwej pracy nie musieli dziś oczekiwać czyjejś łaski. O potrzebie uporządkowania emerytur słyszę już od wielu lat...

Czas zmienić tematykę. Może coś weselszego.

CZY PAMIĘTACIE PIOSENKĘ „SIWY WŁOS”?

Oto „TU I TERAZ” (nr 10 z 8 marca 1985 roku) prezentuje jej kompozytora — Henryka Hubertusa Jabłońskiego. On też skomponował piosenki: „Zachodni wiatr”, „Hej, chłopcy”, „Tylko echo”. Rozmowę z nim przeprowadziła Irena Fikus.

Henryk Hubertus Jabłoński jest gdańszczaninem. Przed wojną studiował grę na wiolonczeli u prof. Kazimierza Wilkomirskiego. Nazywał się wówczas Helmut Berger. — „Moje obecne nazwisko otrzymałem — mówi — w spadku po babce — Jabłońskiej z domu”. Natomiast drugie — przynajmniej dość dziwne — imię dołączył „dla uniknięcia pomyłek”.

Pochodzi z rodziny muzycznej. Grało się u nich wieczornymi. Jako mały chłopiec H. H. Jabłoński marzył o wiolonczeli. Musiał sobie ją kupić, aby móc studiować grę na niej. Ale po wojnie zarzucił grę na wiolonczeli, czas nie był najlepszy po temu i zaczął grywać po lokalach, gdyż zarobek trzeba było na żonę i synów.

— „...nadał grywałem w knajpach, a oprócz tego pisałem melodie. Do jednej z nich ktoś dopisał tekst — „Paniuszka z tramwaju”. Niestety w Warszawie go odrzucano i wtedy Kazimierz Winkler wymyślił coś od serca. W 1954 roku wydano kompozycję pod tytułem „Sivyy włos”.

Dla orkiestry Stefana Rachonina Henryk Hubertus Jabłoński napisał 200 kompozycji. Jest autorem i Symfonii zwanej Kaszubska.

— „W 1973 roku — mówi — napisałem widowisko operowe o Helenie Modrzejewskiej. Dotychczas nie wykonane. Libretto opracowali Mirosław Lebkowski i Jerzy Walden. Było to wspaniałe doświadczenie!”

Milo jest spotkać po latach człowieka, którego piosenkę niegdyś się nuciło, fałszując zresztą strasznie, ale to już inna sprawa.

Wspomnienia wspomnieniami, a życie toczy się dalej i wcale nie jest tak różowe. Przekonali się o tym czytelnicy „TYGODNIKA KULTURALNEGO”, którzy — o czym już donosiliśmy — zostali „odchudzeni”, gdyż zabrano mu 4 strony oraz zmniejszono nakład. Teraz (nr 9 z 3 marca 1985 roku).

CZYTELNICZY „TYGODNIKA KULTURALNEGO” PROTESTUJĄ

Oto fragmenty niektórych wypowiedzi:

HALINA AUDERSKA: — „Decyzje te powodują poważne zubożenie treści pisma, które jako jedno z nielicznych, konsekwentnie ukazuje obraz współczesnej literatury polskiej

(...) Sądzę, iż w dobrze pojętym interesie kultury i literatury polskiej przywrócić dotychczasowej objętości i nakładowi „TK” jest wskazane!”

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI: — „Trudno się także dopatrzeć sensu takiego, a nie innego polierowania polityką „o-szczędnociową” władz wydawniczych, które uderzają w to właśnie pismo, pozostawiając na stronie współczesną hipertrofię pism o najmniej dwuczłonowej jak: groteskowe „Veto”, „Filatelistka”, „Lamigłówek”, a przede wszystkim moc wyrosłych, jak grzyby po deszczu z ambicji drobnowojewódzkiej różnych regionalnych tygodników z ambicjami literackimi — arcybłogich intelektualnie, programowo i językowo!”

JÓZEF OZGA MICHALSKI: — „Decyzja o obcięciu objętości i nakładu naszego pisma ograniczalaby to, co Stronictwo propaguje w zakresie rozwoju kultury i wiedzy o niej oraz udziału licznych twórców na tym neuralgicznym, ważnym dla kształtowania przez Stronictwo, polu działania!”

CZESŁAW KURIATA: — Z listu otwartego do ministra kultury i sztuki: „Tygodnik Kulturalny” jest jedynym ogólnopolskim pismem dla wsi, poświęcającym wiele miejsca problemom kultury. Między innymi w tym tygodniku czytelnicy wiejscy znajdują przystępnie napisane recenzje o książkach oraz utwory literackie współczesnych pisarzy. Jest to często jedyny źródło informacji o aktualnie ukazujących się pozycjach polskich pisarzy współczesnych...”

Można byłoby cytować dalsze głosy i racje przemawiające za tym, że ograniczenie nakładu i objętości każdego pisma jest skądą wyrządzoną czasopiśmiennictwu i przede wszystkim czytelnikom. Na ogół tak się dzieje, że gdy czegoś jest mało, to aby jednym dać, innym trzeba zabrać. Nie sądzę, że ktokolwiek ma prawo decydowania czym kosztem ma się odbywać premiowanie jednych pism. Prawda jest bowiem taka, że to czytelnik bez przymusowej, organizowanej prenumeraty, dobrowolnie, za własne, zarobione pieniądze decyduje o popularności lub niepopularności tego czy innego pisma. Może się ono komuś podobać lub nie podobać, ale ma czytelników. Tak właśnie jest w przypadku „Veto”. O „Lamigłówek” czy „Filatelistkę” nie będę się wypowiadał.

Swego czasu tygodniki społeczno-kulturalne oraz prasa codzienna ujęła się za książką i walczyła o papier dla książek. Dziś same znalazły się w trudnej sytuacji. Kto więc będzie walczył o papier dla nas, jeśli nie zrobimy tego sami? Nie może być prawidłowego obiegów myśli, rozwoju kultury wreszcie bez systematycznego rozwoju piśmiennictwa. Wiele z nich poszukuje własnych dróg, wiele reprezentuje wysoki poziom, wiele ma cenny dorobek. Są różne i to jest ich zaleta.

Jak długo można mówić, że zbliża się XXI wiek i nie potrafić się technicznie do nadejścia tego wieku przygotować. Niedorozwoj poligrafii i przemysłu papierniczego jest właśnie takim brakiem przygotowania. Potrzeba czasu i pieniędzy, aby to się zmieniło. Więc nie tracmy czasu i pieniędzy.

LUCJAN BOGUSZ

Michał Gorbaczow sekretarzem generalnym KC KPZR

Michał Gorbaczow urodził się 2 marca 1931 roku we wsi Priwolnoje w rejonie krasnogwardziejskim Kraju Stawropolskiego w rodzinie chłopskiej.

Zaczął pracować w wieku 15 lat, wkrótce po zakończeniu wielkiej wojny narodowej (1941-1945). Pracował jako mechanizator w ośrodku maszynowo-tractorowym. W 1952 r. M. Gorbaczow wstąpił w szeregi KPZR. W 1955 roku ukończył Wydział Prawa Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. Łomonosowa, a w 1967 r. — Stawropolski Instytut Rolniczy, uzyskując specjalizację agronoma-ekonomisty.

W 1955 r. Michał Gorbaczow podjął pracę w Komsomole i w partii. Działał w Kraju Stawropolskim: był pierwszym sekretarzem Stawropolskiego Komitetu Miejskiego WLKZM, zastępcą kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji, a następnie kolejno drugim i pierwszym sekretarzem Krajowego Komitetu Komsomolu.

W marcu 1962 r. Michał Gorbaczow został wansowany na stanowisko organizatora partyjnego Stawropolskiego Terytorialno-Produkcyjnego Zarządu Kolchozowo-Sowchozowego, a w grudniu tego samego roku został mianowany kierownikiem Wydziału Instancji Partyjnych Komitetu Krajowego KPZR.

We wrześniu 1966 r. M. Gorbaczow został wybrany na pierwszego sekretarza Stawropolskiego Komitetu Miejskiego partii. Od sierpnia 1968 r. był drugim sekretarzem, a w kwietniu 1970 roku został wybrany na pierwszego sekretarza Stawropolskiego Krajowego Komitetu KPZR.

Michał Gorbaczow jest członkiem Komitetu Centralnego KPZR od 1971 r., był delegatem na XXII, XXIV, XXV i XXVI zjazdy partii. W 1978 r. został wybrany na sekretarza KC KPZR, w 1979 r. — na zastępcę członka Biura Politycznego KPZR.

W październiku 1980 roku Michał Gorbaczow z zastępcy został członkiem Biura Politycznego KC KPZR. Jest deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR 8-11 kadencji, przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych Rady Związku. Jest deputowanym do Rady Najwyższej RFRR 10 i 11 kadencji.

Michał Gorbaczow jest wybitnym działaczem partii komunistycznej i państwa radzieckiego. Na wszystkich stanowiskach, które powierza mu partia, wykazuje cechującą go inicjatywę, energię i ofiarną, swoją wiedzę, bogate doświadczenie i talent organizatorski oddaje realizacji polityki partii, żarliwie służy wielkiej sprawie Lenina, interesom ludu pracującego.

Za zasługi dla partii komunistycznej i państwa radzieckiego Michał Gorbaczow został odznaczony trzema Orderami Lenina, Orderami Rewolucji Październikowej, Czerwonego Sztandaru Pracy oraz medalami.

Minał tydzień

ŚLUBA ZDROWIA W ŁODZI

była przedmiotem rozważań na plenarnym posiedzeniu Rady Łódzkiej PRON. Posiedzenie to poprzedzono zebraniem uwag i postulatów od mieszkańców miasta. Dzwonili oni do Rady Łódzkiej PRON i dzielili się swoimi spostrzeżeniami na temat pracy służby zdrowia w łódzkim województwie miejskim. Uwagi te zostały nagrane i były przedstawione uczestnikom obrad. W dyskusji zwrócono uwagę na konieczność oszczędniejszego wydawania pieniędzy pochodzących z budżetu miasta, a także mówiono o potrzebie stworzenia funduszu dewizowego dla służby zdrowia. Posiada ona bowiem sporo zagranicznej aparatury, której niezbędne są części zamienne, a te można kupić tylko za dewizy. Postulowano też wspólne wykorzystywanie posiadanej aparatury.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI NAPOWIADAŁ

w programie lokalnym Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego 28 lutego 1985 roku różnych ciekawych rzeczy o przeszłości Łodzi kulturalnej. Od dawna już zauważono, że Włodzimierzowi Sokorskiemu mieszają się wspomnienia, w związku z tym przestał zważać na prawdziwość szczegółów. Mniejsza zresztą o to. Ciekawsze, że Włodzimierz Sokorski zanegował istnienie w Łodzi pisma kulturalno-społecznego. Powiadając, że taki na przykład Kraków ma dwa i podobnie Wrocław, co niezupełnie jest prawdą, gdyż „Sprawy i Ludzie” nie są pismem społeczno-kulturalnym, tylko pismem polityczno-społecznym, a jest to przecież różnica.

Włodzimierz Sokorski przez cały czas mówił o potrzebie istnienia w Łodzi pisma literackiego, co znów jest czym innym niż pismo społeczno-kulturalne. Powiedział, że były próby stworzenia takiego pisma, ale się nie udały. Przepraszam, a czym jest „Osnowa”? Jakoś nie słyszałem, aby „Osnowa” przestała wychodzić.

Bardzo lubię słuchać wspomnień Włodzimierza Sokorskiego, ale jednak nie mogę powstrzymać się od uwagi, że jak się już o czymś mówi, to trzeba dobrze wiedzieć o czym.

A. B. SEKATOR

1.

Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, który czuje się — i niekiedy słusznie — gospodarzem dyskusji o projektowanej nowej ordynacji wyborczej do sejmiku, ogłosił, wedle swego kalendarza, zakończenie konsultacji nad „założeniami do projektu ustawy”. Teraz rozmaite komisje policzą wszystkie propozycje, poklasyfikują, wrzucą na komputer i jak na dłoni wyjdzie w procentach, ilu z nas jest za dwoma dniami wyborów, za tym, by było 500 posłów, za listami regionalnymi i za możliwością wybrania osiemnastoletniego sędzię do parlamentu. Znam z góry odpowiedź na te interesujące kwestie, ale nie będę się wtracał — niech liczą. Albowiem samo poznawanie opinii publicznej ma istotne walory kształtujące. Jeżeli organizatorzy konsultacji potrafią w trakcie tego procesu poznać wyciągnąć właściwe wnioski, to rokowania dotyczące kształtu przyszłej ordynacji będą pomyślne...

Więc niech wszystko zostanie policzone. A ponieważ jestem przeciwnikiem konsultacji jako takich w ogóle, pozwolę sobie poczynić kilka uwag całkowicie niezależnie od tego, co z komputera wypadnie.

2.

Moje przeświadczenie o społecznej wadze i o ogromnej doniosłości politycznej dyskusji nad zasadami wyborów w PRL nie ogrzeskuje się wokół zamysłu doskonalenia formuł prawno-ustrojowych, wedle których sam akt wyborczy miałby się „demokratyzować”. Ale nie przeczę, samo ukształtowanie prawa wyborczego, przewidziane w nim procedury, obowiązki uczestników i reguły zabezpieczenia przed praktycznymi zniekształceniami mają ogromne znaczenie — nie tylko dla demokratyczności i wiarygodności aktu wyborczego, ale i dla samopoczucia społecznego.

Nie ulega jednak wątpliwości, że jest coś ważniejszego, niż najdoskonalsza nawet ustawa. Coś, czego żadna norma prawna nie zadekretuje. Mam tu na myśli kwestie doboru, selekcji, wyszukiwania kandydatów na posłów... nie wiem właściwie, jak najposobniej należałoby nazwać tę czynność.

Niedawno użyłem słowa — konkurs. Bez żadnego podtekstu rywalizacyjnego; na pewno nie w znaczeniu bezpośredniego starcia współzawodników. Chodziło mi raczej o konkurs postaw, osobowości, politycznych indywidualności. Konkurs toczy się nie lawnie i dosłownie, ale podskórnie i jakby w codziennej działalności organizacji politycznych i społecznych.

3.

W latach siedemdziesiątych pracowałem — jako redaktor gazety zakładowej — w największej fabryce jednego z sąsiednich województw. Było tam osiem tysięcy ludzi, superważna dla kraju produkcja, robotnicze tradycje i siła polityczna; paru wojewodów, sekretarzy i prezydentów oraz działaczy z centrali tam zaczynała swoją karierę — byli w fabryce majstrami, kierownikami, sekretarzami kasy, dyrektorami, a w latach pięćdziesiątych nawet robotnikami.

Zakład miał zawsze „swojego człowieka” w Sejmie. Nie mogło być inaczej — ta firma naprawdę wiele mogła i trzeba było się z nią liczyć. Ale wtedy mechanizm wyborczy rządził się wedle skomplikowanych zasad: fundamentem, na którym zasnadał się cały system wyłaniania kandydatów do parlamentu, było pojęcie „klucza”. (Funkcjonowało ono zresztą powszechnie — i kto wie, czy jego relikty nie przetrwały do dziś w nader licznych dziedzinach życia publicznego...). Klucz to była struktura współzależności politycznych i kryteriów tzw. reprezentatywności sterująca polityką personalną. Polegało to z grubsza na tym, że określone stanowiska we władzach, administracji, w partii czy gospodarce miały ściśle sobie przypisane zespoły właściwości, które musieli spełniać ludzie na te stanowiska wyznaczeni czy wybierani, albo zgola przywołani z tezek z centrali. Na przykład wicewojewoda do spraw rolnych musiał być zeteselowcem, w składzie sekretariatu KW musiała „z klucza” być jedna kobieta (tak wypadło, że na ogół pochodziła ze środowiska nauczycielskiego i zajmowała się propagandą), do egzekutywy wchodził młodzieżowiec, a wicekuratorem do spraw wychowawczych bywał eks-wojskowy...

Skomplikowany układ klucza wyznaczał miejsce podstawowe cechy kandydata na posła: musiała to być kobieta w wieku średnim, za to z wykształceniem wyższym technicznym, bezpartyjna i zaangażowana w kobiecej organizacji. Na miejsce niemandatowe natomiast kandydował młodzieżowiec, robotnik do lat trzydziestu, z wykształceniem co najwyżej średnim.

I tak ten układ funkcjonował z kadencji na kadencję. A funkcjonował wcale nieźle — to znaczy zawsze można było wytypować odpowiednią kandydatkę, mądrą, porządną i uczciwą, naprawdę godną reprezentowania swych współobywateli w najwyższym organie władzy PRL.

Zresztą obecny nasz Sejm w większości przecież składa się z posłów wybranych w podobny sposób, według niemal identycznego klucza w okręgach wyborczych. No i co z tego? Otóż nie szczególnie. Wiele wskazuje na to, że ci reprezentanci narodu, wyłonieni w wyborach doskonale zdali egzamin w czasach trudnej próby. Poza oczywiście tymi kilkoma nastawami, którym centralne władze partii poleciły zrzec się mandatów, poza tymi, którzy obarczeni zostali odpowiedzialnością za

krzys i skomromitowali się, pełniąc najwyższe funkcje polityczne i administracyjne.

Posłowie w ciągu tej przedłużonej kadencji wykonali gigantyczną pracę ustawodawczą o fundamentalnym znaczeniu dla państwa, stawali czoło najważniejszemu kryzysowi politycznemu i zyskali jeden z wyższych wskaźników społecznego zaufania w tym trudnym okresie. Uwiarygodnili swe mandaty.

Czyżby zatem było wszystko jedno, jak ich wybieramy?

4.

Otóż nie — nie wszystko jedno. To, co przydarzyło się Sejmowi VIII kadencji, jest właśnie ostatecznym odarciem wszelkich nowabów z lansowanej wtedy idei moralno-politycznej jedności narodu.

Dotychczasowy system wyłaniania kandydatów do parlamentu służył różnym celom, ale nie sprzyjał utworzeniu autonomicznego i silnego organu władzy w państwie. „Klucz” — funkcjonujący poza gronem kilkudziesięciu polityków rangi centralnej

TOMASZ SAS

Wybory zdrowego rozsądku

(w tym i katolickich) — służył przede wszystkim w miarę wiernemu odwzorowaniu struktury społecznej obywateli. Chodziło o przybliżenie przybliżoną proporcjonalną reprezentację według płci, wieku, zawodów, wykształcenia i przynależności do grup społecznych. Naturalnie nie pomijano osobistych przymiotów kandydatów — ich postawy moralnej, ich nienagannego wizerunku publicznego. Na ogół nikt z animatorów naszego ówczesnego życia politycznego nie odważył się jawnie deprecjonować parlamentarnego autorytetu poprzez wysuwanie kandydatów wyrażających skompromitowanych. Pewien standard obywatelski i etyczny obowiązywał.

Polityczne centrum dyspozycyjne chciało mieć parlament służący firmowaniu, legitymizacji jego poczynań. Dlatego najbardziej pożądanymi byli stosunkowo bierni kandydaci na posłów. Osobowości polityczne autorytety i talenty przywódcze mniej się liczyły w tym układzie współzależności.

Nie ma co ukrywać — dzisiejszy nasz parlament byłby pozostał taki do końca swej kadencji.

Zmiana nastąpiła pod wpływem ciśnienia wydarzeń zewnętrznych, całkowicie pozaparlamentarnych. Głęboki kryzys polityczny nie zburzył wprawdzie struktury sejmiku, ale na pewno nieco ją wstrząsnął; a poza tym gruntownie prze wartościował wiele z „dookolnych” współzależności. Dzięki temu zmieniła się i postawie, ale tylko o nieznacznie można powiedzieć, że „rewolucja” zrodziła się w nich samych. Również nieelicyt (i nie zawsze dokładnie ci sami, o których mówię w poprzednim zdaniu) odbyły ekspansyjną wędrówkę w kierunku opozycji, acz nie zawsze dochodząc do końca. O tych, także nieelicyt, którzy odpadli ze względu na swą współodpowiedzialność za spowodowanie kryzysowych wydarzeń, już wspominałem.

Pozostała większość przeobraziła się wobec przemożnego oddziaływania ekstremalnych politycznych i społecznych warunków funkcjonowania parlamentu. Najpierw zeszańście miesięcy bezwzględnej walki politycznej, a potem surowe kondycje stanu wojennego wyzwołyły w posłach energię, wolę działania, a przede wszystkim poczucie realne, nie malowane na papierze, współodpowiedzialności za losy państwa.

Nie da się ukryć, że tę jaskrawo pożądaną metamorfozę zawiązujemy okoliczności już wspomnianej tutaj, a mianowicie stosunkowo wysokiemu standardowi moralnemu i obywatelskiemu większości posłów. Dzięki temu sejm przestał wyzwaniami czasów i stał się tym, czym na początku kadencji miał być: postawie zaś — być może nawet nieoczekiwane dla nich samych — sprawdzili się w trudnej próbie, której dla nich nie przewidziano przedsięwzięciu dysponencji centrum politycznego. Było to możliwe tylko dlatego, że — pominiwszy cele, którym sejm miał służyć — w tych niedemokratycznych wyborach wedle niedemokratycznej ordynacji wybrano ludzi uczciwych i odpowiedzialnych. Mimo wszystko...

5.

Ale nawet najbardziej świetlany zespół cech osobowych każdego z posłów z osobną i wszystkich razem wziętych to jeszcze nie wszystko. Powiem więcej — to daleko za mało, aby parlament funkcjonował należycie. A w każdym razie aby był rzeczywiście organem władzy. Do tego nie wystarczy nienaganny tryb życia i nie-

skazitelną postawą moralną. Przyszły poseł to musi być osobowość polityczna przede wszystkim...

Co to oznacza? Przeprowadźmy ten wywód od końca, od sfery praktycznych konsekwencji. Otóż jest rzeczą nieodzowną dla sprawnego — i dla obywateli pożytecznego — funkcjonowania demokratycznego państwa, aby parlament był aktywnym organem władzy najwyższej. Aktywnym — to nie tylko inicjującym stanowienie praw, nie tylko wypełniającym zadania kontrolne wobec administracji. Sejm jest szczytem piramidy struktury systemu przedstawicielskiego — ale to wcale nie znaczy, że wobec tego całego systemu spełniać musi wyłącznie zwierzchni nadzór albo patronat. Wprost przeciwnie — chodzi raczej o funkcję sui generis usługową dla rad narodowych i rozmaitych samorządów. Sejm bowiem jest dla całej tej struktury miejscem najwyższym publicznej artykulacji interesów, aspiracji, oczekiwań i społecznych pragnień; jest miejscem, gdzie interesy owe konfrontują się, przenikają między sobą lub zgola walczą i — zamieniają się w prawa...

Na tej właśnie płaszczyźnie wewnątrzpaństwowych stosunków politycznych niezbędna jest aktywność sejmiku jako organu władzy przedstawicielskiej. Organu władzy, który nie sprawuje bezpośredniego kierowania sprawami państwa, ale dla egzekutywy musi być źródłem programów, wytycznych i inspiracji. Źródło to

kandydatów jest rzeczą organizacji politycznych i społecznych — sygnatariuszy deklaracji PRON oraz tych, którym na to zezwoliło prawo wyborcze. Nam wszystkim jest dana możliwość wyselekcjonowania — poprzez akt głosowania — tych, którzy odpowiadają nam najbardziej.

Każdy uprawniony do przedstawienia kandydatów poselskich ma swoje specyficzne procedury (bądź stara się je właśnie teraz doskonalić) — nie chciałbym się do tych zasad wtracać ani ich krytycznie oceniać. Niemniej — o napisaniu tych wszystkich refleksji o znaczeniu „czynnika ludzkiego” w samym akcie wyborczym i całym systemie przedstawicielskim — czuję się zobowiązany do przynajmniej kilku uwag i na ten temat.

Istota wyłaniania kandydatów polegać winna na jednym fundamentalnym założeniu — nie mogą to być „akcje” organizowane raz na cztery lata. To musi być proces stały! Działacze polityczni i społeczni winni być — z punktu widzenia ich parlamentarnej przydatności — oceniani przez czas dłuższy, a raz zaliczeni do czegoś w rodzaju „sejmowej kadry rezerwowej”, muszą funkcjonować w świadomości członków swych organizacji jako potencjalni parlamentarzyści.

Każda partia, każda organizacja dysponuje wszak znacznymi zasobami ludzi aktywnych i wielokrotnie wypróbowanych — ale przy tym ma grono młodych działaczy, którzy w niej szukają możliwości zaspokojenia swych dążeń ideowych i osobistych. W tym ostatnim nie ma nic zdrożnego — jeżeli oczywiście nie łączy się z prymitywnym arrywizmem, z chęcią osiągnięcia nienależnych korzyści materialnych czy też wygodnego „urządzenia się”. Pokutujące u nas wzorce życia publicznego w ogóle deprecjonują samo pojęcie „kariery” — nawet w najczystszej formie moralnie znaczącej — zwłaszcza gdy ktoś aktywnie ubiega się o awanse. Dominuje model kariery biernej, ludzie pragną być prosieni, „zauważani”, wyciągani i holowani w górę przy minimalnej aktywności własnej. Ten schemat paraliżuje liczne nasze struktury polityczne, gospodarcze i administracyjne. A poza tym opinia publiczna nader niechętnie kwituje czyjeś aktywne dążenia do awansów — to polskie piekło, obywatelom się rzekomo bez strażników, to ten szewc zazdroścący kanonikowi...

Ale zostawmy te niewesołe dygresje. W każdym razie dla uczestniczących w koalicji organizacji politycznych ważne jest stałe posiadanie zespołu ludzi gotowych do stawiania w wyborcze szranki — przygotowanych, zweryfikowanych, posiadających własny dorobek w działalności społecznej, popularnych i moralnie nienaganych.

Jest rzeczą oczywistą, że przede wszystkim należy brać pod uwagę ludzi aktualnie pełniących funkcje przedstawicielskie — ich szczególnie wnikliwie oceniał i czerpał z ich doświadczeń, a nadto umiejętnie propagował ich parlamentarny dorobek i osobowości. Nie byłoby bowiem pożądanym zjawiskiem, aby co kadencję wymieniał wszystkich reprezentantów obywateli. Z drugiej wszakże strony marnowanie doświadczeń i brak szacunku dla ciągłości są tak arcypospolimi przywarami życia publicznego, iż, obawiam się o praktyczne możliwości zachowania równowagi w tej mierze.

Jedną jest tylko kategoria „działaczy politycznych”, której udziału w tym nieustającym „gabiniecie cieni” sejmowych nie chciałbym brać pod uwagę. To zawodowi funkcjonariusze organizacji politycznych i społecznych, nie pełniących swych funkcji z wyboru. To nie znaczy, że brak im szacunku dla tej grupy ludzi, czy że kwestionuję ich obywatelskie cnoty. Po prostu — w gabinetach komitetów, rad czy zarządów potrzebne są inne kwalifikacje, czysto organizatorskie. W sejmie natomiast potrzebni są ludzie wyłowieni z samego jądra życia publicznego, stamtąd, gdzie bezpośrednio uczestniczy się w działaniach społecznych.

6.

W tym miejscu muszę zwrócić uwagę na jedno dość istotne niebezpieczeństwo systemu owego nieustającego konkursu kandydatów. Jest to ewentualne wyłonienie się grupy zawodowych deputowanych. Należy się z nią poważnie liczyć, albowiem tendencja do specjalizacji w tej mierze — jak i w innych dziedzinach współczesnego życia społecznego — jest całkiem naturalna.

W toku doskonalenia się procesu typowania kandydatów do sejmiku jest duże prawdopodobieństwo rutynizowania się i formalizowania samej idei, filozofii systemu przedstawicielskiego. Mogą powstać na tej drodze wynaturzenia zmierzające do nader ścisłego oznaczenia cech stosownych dla deputowanego. Stąd już krok do nowego, specyficznego „zawodu”. Na pewno znajdą się ludzie, którzy będą to lepiej robić od innych; potem przyjdzie kolej na stwierdzenie, że niezbędni są fachowcy o specjalnym, kierunkowym wykształceniu formalnym — po prostu sprawni profesjonalści. Wszak reprezentowanie wymagać będzie ogromnego zaangażowania, czasu i umiejętności — a także politycznej pewności.

Znamy we współczesnym świecie takie systemy parlamentarne — na przykład amerykański kongres, gdzie większość reprezentantów to zawodowcy politycy, a niemal wszyscy mają wykształcenie prawnicze. W naszych warunkach społecznych i politycznych byłaby to nieznośna dewiacja. Sama skuteczność funkcjonowania tak uformowanego sejmiku nie wystarczy, a byłoby przy tym niczym nie usprawiedliwione — aby funkcje najwyższej władzy z rak przedstawicieli ludu pracującego miast i wsi (jak to stanowi konstytucja), przeszły do rąk jeszcze jednego aparatu o charakterze korporacyjnym.

(Ciąg dalszy refleksji o systemie wyborczym — za tydzień).

7.

A zatem przedstawiciel, reprezentant obywateli — jaki właściwie powinien być? Wyłanianie

Edmond Osmańczyk jeszcze w 1946 roku pisał we wzniośle i opatrzonej wstępem prof. Jana Szczepańskiego książce pt. „Sprawy Polaków”:

„Dla nas Niemcy nie będą niebezpieczni tylko pod dwoma warunkami: 1. Jeśli utrzymamy granicę Odra i Nysy; 2. Jeśli będziemy jako naród równie silni wewnętrznie i równie silni zewnętrznie, jak naród niemiecki”.

Pierwszy z dwóch warunków spełniamy. Od ponad czterdziestu lat stopy graniczne z białym, piastowskim orłem, stoją mocno nad Bałtykiem, Odrą i Nysą Łużycką. Po raz pierwszy w naszych tysiącletnich dziejach mamy na zachodzie niemieckiej sąsiada, z którym ułożyliśmy stosunki pokojowe, na zasadach współzależności i współpracy. Do spełnienia drugiej klauzuli potrzebna nam jeszcze wiele politycznej mądrości i dojrzałości, niemało wysiłku, cierpliwości i determinacji w przełamaniu linii politycznych, wewnętrznych podziałów, ujawnionych i uświadamionych w okresie postępowym. Nade wszystko zaś istnieje w Polsce potrzeba wielkiej, pozytywnej pracy i mądrego spożytkowanego wysiłku całego narodu.

Wiosną 1945 roku powrót do normalności, do życia powojennego nie był łatwy. Zniszczenia po wojennej potodze były ogromne. Należały do największych w Europie. Dokładnie one zarówno kapitał rzeczowy: miasta, transport, fabryki, jak i ludność. Przymiemy jedynie, że dochoch nadpływy obniżył się z 17,7 mld zł w 1938 roku do 6,8 mld zł w 1945 roku (w złotych z 1938 r.). Straty wojenne w zabudowie miast i wsi dotknęły obok Ławego woj. warszawskiego w największym stopniu: Śląsk, Wielkopolskę i Ziemię Lubuska oraz całe Pomorze.

Sytuację ówczesną na I Zjeździe PPR Władysław Gomułka charakteryzował następująco:

„Zastaliśmy (na ziemiach wyzwolonych — przyp. autora) tylko wielki żal i entuzjazm ludzi pracy, którzy chcieli budować nową Polskę i tworzyć w niej nowe życie. Poza tym nie zastaliśmy niczego. Nie zastaliśmy w kasach i bankach ani grosza pieniędzy państwowych, gdyż okupant zabral je z sobą. Nie zastaliśmy żywności i innych składników, gdyż wywoził je przedtem okupant, a poza tym był okres przedwojenny. Nie zastaliśmy w ocalałych fabrykach pasów, silników, narzędzi, surowców. Nie zastaliśmy wagonów, parowozów ani samochodów. Zastaliśmy tylko zgłiszczą spalonych wsi i miast, zerwane i wysadzane w powietrze mosty, drogi, tory kolejowe. Zastaliśmy czasem mury po wywołanych fabrykach. I jeszcze coś zastaliśmy. Zastaliśmy jeszcze dywersyjną przyuczajoną reakcję, która chciała nas zlamać przez ślamiazę ducha narodu”.

Celem uściślenia przytoczonej relacji należy dodać, iż nie o odmiennie, w pewnym sensie nawet lepiej, przedstawia się sytuacja na wsi. Na Ziemiach Zachodnich i Północnych większą część gospodarstw ponemieckich nadawała się do zasiedlenia od razu. Stąd też do końca 1947 roku zdołano osadzić na gospodarstwach rolnych na tych terenach ponad 2 mln osób. Powstawały gospodarstwa drobne, tak jak w reszcie kraju, ale i wiele średnich, a także kilkudziesięci hektarowe. Znaczna ich część posiadała mrowane, w dobrym stanie zachowane domy i budynki inwentarskie, narzędzia a nawet maszyny. Można więc było na wielu terenach przystąpić od razu do użytkowania ziemi. Jak pisał Henryk Szlabek w pracy pt. Polska Ludowa 1944—1950, do pierwszorzędných problemów nie należało wtedy niedopuszczenie do tego, aby ziemia zbyt długo „odpoczywała” po wojnie. „Jesienią 1945 roku zasiewów dokonywano indywidualnie. Jednakże osadnicy nie znaleźli często granic swojego gospodarstwa. Obsiewali więc początkowo najlepsze, najczęściej niewielkie działki niezależnie od tego, czy leżały one na „ich” czy na „cudzych” polach. I w 1946 roku taki sposób gospodarowania nie należał jeszcze z pewnością do rzadkich”. W tym roku zdołano obsiać 28 proc. gruntów.

NIELATWE POWROTY

Poczdamskie spotkanie Wielkiej Trójki dzieliło od konferencji jaltańskiej zaledwie pięć miesięcy. Jednakże kiedy przywódcy ZSRR, USA i W. Brytanii zbrali się 17 lipca 1945 roku na pierwszym spotkaniu w pałacu niemieckiego następcy tronu, Cecilienhof, w parku Neuen Garten, była to już inna Europa. Był to już inny świat.

W tym zmienionym geopolitycznie powojennym świecie istotną rolę miała odegrać po raz drugi odrodzona Rzeczpospolita, socjalistyczna Polska. Władimir Nikrasow w pracy pt. „U źródeł bezpieczeństwa europejskiego” pisze:

„Sedno sprawy polegało na pozycji strategicznej państwa polskiego w Europie. Polska, położona na równinie północno-europejskiej, pomiędzy Związkiem Radzieckim i Niemcami dysponująca (pomimo zniszczeń — przyp. autora) w dodatku znacznymi zasobami ludzkimi i niematerialnymi, z punktu widzenia ówczesnych strategów była krajem kluczowym, zarówno dla tych, którzy myśleli o nowym konflikcie europejskim, jak i dla przeciwników takiego konfliktu, to jest sil politycznych zdecydowanych na przekształcenie wreszcie Europy w kontynent pokoju”.

Nowa Polska to nie tylko rodzący się dopiero nowy ustrój, zmieniony porządek polityczno-gospodarczy. To także odmiennie, niż dotąd w historii, było, ułożone stosunki z sąsiadami: Związkiem Radzieckim, Czechosłowacją oraz Niemcami. To wreszcie nowe, a jednocześnie stare, bo piastowskie granice. To powrót na ziemię „skąd nasz ród” — nad Bałtyk, Odrę i Nysę.

Z powojennymi zmianami granic, z „przemieszczeniem” się Polski na mapie Europy w kierunku zachodnim, wiązały się problemy wielkiej migracji ludności na obszarze całego kraju oraz skomplikowany proces osadnictwa. Największa fala powojennej migracji przetożyła się przez ziemię między dawną i nową granicą na zachodzie. Na obszarze tym, na skutek masowej ucieczki i ewakuacji, uchylo około 4,8 mln ludności. Szacuje się, że w momencie przejmowania przez polską administrację ziem odzyskanych, zamieszkiwało je około 4 mln ludzi; z czego około miliona stanowili Polacy — autochtoni; Polowa Niemców opuściła nasze ziemie zachodnie i północne na własną rękę, uciekając w popłochu przed zbliżającym się frontem. Planowane wysiedlenie pozostałej ludności niemieckiej rozpoczęło się w lutym 1945 roku. W wyniku tej akcji do stycznia następnego roku 75 proc. Niemców powróciło do swojej starej ojczyzny.

Jesienią 1945 roku rozpoczęło się skomplikowane przedsięwzięcie weryfikacji autochtonów. Było to działanie niełatwe, ale konieczne, budzące rozmaite emocje. Trudno czasami, po straszliwych doświadczeniach wojny przychodziło ludności napływowej zrozumienie skali złożoności problemów narodowościowych na Śląsku czy Mazurach. W wyniku tej akcji około miliona osób uzyskało polskie obywatelstwo.

Jak już wspominałem był to jednak trudny i złożony problem. Dla przykładu ludność Górnośląska wписywano w czasie wojny „z urzędu” na Deutsche Volksliste (DVL). I tak, Ślązaków, którzy przed 1939 rokiem deklarowali polską narodowość kwalifikowano automatycznie do III kategorii, zaś tych, którzy brali aktywny udział w polskim życiu — do IV. Jeszcze przed wpisaniem na DVL, do października 1941 r., około 40 tys. Polaków ze Śląska zostało wcielonych do Wehrmachtu. Cała zresztą akcja „wielkoduszego” obdzierania Ślązaków, wbrew ich woli, Deutsche Volkslista, służyła przede wszystkim pozyskiwaniu rekruta. Pod koniec 1944 r. za odmowę wpisania „z urzędu” na DVL, groziła kara śmierci. „W tych warunkach — jak pisał Kazimierz Popielek — w wyniku nacisku i terroru, a u części ludności w konsekwencji świadomości przyjętej taktyki maskowania się, przeważająca część mieszkańców województwa śląskiego wpisana została na DVL, w większości (950 tys.

osób na 1.290 tys.), uzyskując III i IV kategorii”.

Długa i trudna była droga powrotu Śląska, Warmii i Mazur do Polski, do macierzy. Okupiona została licznymi ofiarami narodowych zrywów i niemieckich prześladowań. Skomplikowane, pogmatwane były losy mieszkańców tych ziem. Wyzwolenie przyniosło, obok radości z powrotu do Polski, także nowe konflikty, a nawet dramaty. Ułożenie poprawnych, normalnych stosunków sąsiedzkich pomiędzy Polakami-S Ślązakami, Polakami-Mazurami a ludnością napływową, napotykało na rozliczne kłopoty. Tu i ówdzie zdarzyły się antagonizmy, konflikty.

REPATRIACI

Około 5 mln osób, a więc ponad 20 proc. Polaków witalo koniec wojny poza krajem. Naj-

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Skąd nasz ród

Nieznajszą grupę obywateli polskich, którzy w następstwie wojny znaleźli się na obczyźnie, stanowili robotnicy przemysłowi wysiedleni przez okupanta. Największym skupiskiem polskich „dipisów” w maju 1945 roku był obszar byłej Rzeszy Niemieckiej. Stanowili oni połowę całej emigracji wojennej. Drugą, zbliżoną rozmiarami do pierwszej grupą była migracja w Związku Radzieckim. Przed tymi ludźmi stał problem powrotu (w przypadku „dipisów”) oraz repatriacji, w odniesieniu do Polaków zamieszkałych na obszarach dawnych kresów wschodnich oraz w głąb ZSRR (przesiedleni tam w okresie od września 1939 do czerwca 1941 r.).

Polsko-radzieckie rokowania na temat repatriacji toczyły się od roku 1944. Początkowo napotykały na pewne trudności. Jednakże w lipcu 1945 roku zostały sfinalizowane.

Umowa o wymianie ludności zawarta przez PKWN przewidywała dobrowolność przesiedlenia. W zasadzie już to przesądzało o tym, że transfer nie będzie całkowity. Jedynie w realizacji postanowień porozumienia pomiędzy stroną polską a USSR, począwszy od władz polskich, jak i ukraińskich zmierzano do tego, aby przesiedlenie ludności ukraińskiej było całkowite. Granica państwowa miała być także granicą etniczną.

Nieco odmiennie stanowisko prezentowały władze Białoruskiej SRR i Litewskiej SRR. Było to m.in. wynikiem innego charakteru mniejszości na obszarach tych dwu republik. Znalazło to odbicie w braku ostrych antagonizmów narodowościowych na pograniczu polsko-białoruskim i polsko-litewskim. Wszystko, co w przypadku tych dwu republik strona polska mogła uczynić, to respektować przyjętą zasadę dobrowolności. Zarówno bowiem na Litwie, jak w Białorusi, miejscowe władze nie rzadko pragnęły zatrzymać część ludności, szczególnie na wsi. W republice litewskiej władze regionalne dążyły do jak najlepszego zakończenia przesiedlenia, a poza Wilnem, także do ograniczenia ich rozmiarów.

Dylemat: zostać czy wyjechać do Polski, inaczej przedstawiał się w mieście i odmiennie na wsi. Inaczej na Litwie i Białorusi niż na Ukrainie. „Zaczęła się walka sumienia u każdego Polaka, który kochał prawdziwą ojczyznę. Ale on również kochał swoją wieś rodzinną, gdzie ujrzał świat” — pisał w 1948 roku chłop z Nowogródzkiego. Na decyzję wyjazdu z Litwy czy Białorusi wpływała często motywacja: „chciałem mieszkać w Polsce” albo „większa część sąsiadów wyjechała, to i ja także”... Tymczasem w przypadku Ukrainy Zachodniej, dużą rolę w

podjęciu decyzji wyjazdu odgrywało poczucie osobistego zagrożenia ze strony ukraińskich nacjonalistów, szczególnie na wsi. Nie od razu zdołano położyć kres dywersyjnej działalności band UPA. Trzeba również dodać, że władzom ukraińskim zależało na tym, by Polacy jak najszybciej opuścili te ziemie. W tym rejonie stosunkowo najdłużej od wyjazdu powstrzymywała się część ludności Lwowa.

Pierwsi repatrianci z ZSRR przybyli do Polski w czerwcu 1945 roku. Dopiero jednak po podpisaniu wspomnianej umowy akcja ta została zorganizowana na większą skalę. Terminy przewidziane w porozumieniu były jednak bardzo krótkie, zważywszy przede wszystkim ogromne przestrzenie terytorium Związku Radzieckiego. Stąd też pierwotne terminy zostały w wyniku dwustronnych negocjacji przesunięte, gdyż do 31 grudnia 1945 roku przybyło do kraju zaledwie około 22 tys. osób, czyli niespełna 10 proc. repatriantów. Najwięcej Polaków

TRUDNOŚCI PROCESU ODBUDOWY, PRZEBUDOWY I UMACNIANIA RZECZYPOSPOLITEJ POLAKÓW.

trudności procesu odbudowy, przebudowy i umacniania Rzeczypospolitej Polaków. Pomimo czynionych wysiłków oficjalne zakończenie repatriacji i reewakuacji nie zamknęło całkowicie powrotnych migracji z obszarów Związku Radzieckiego. W związku z tym, iż pomimo przedłużenia czasu akcji repatriacyjnej, pozostawała jeszcze z ZSRR spora grupa Polaków, pragnących wyjechać do kraju, powrócono do tego problemu w roku 1958, w rozmowach polsko-radzieckich, prowadzonych po październikowym przełomie pomiędzy Władysławem Gomułką a Nikitą Chruszczowem.

Trzeba powiedzieć, iż ani akcja repatriacyjna z terenów wachodnich, z ZSRR, ani powrót Polaków z Niemiec, czy reemigracja z Francji, Belgii i innych państw zachodnich, nie bilansowały ubytku ludności na ziemiach odzyskanych. Stąd wynikała konieczność przedsięwzięcia zorganizowanej migracji wewnętrznej. Samozwrotne, żywiołowo podejmowane decyzje o wyjeździe „na zachód” wspierała akcja propagandowa i osadnictwo wojskowe. Na dawne ziemie piastowskie jak najszybciej powinno było powrócić polskie życie. Należało je równocześnie licznymi, różnorodnymi, trwałymi więzami łączyć z resztą kraju.

Dziś, po czterdziestu latach od zakończenia wojny, Polska nie dzieli się już na Kongresówkę, Galicję i Ziemię Odzyskaną, stanowiącą jednolity organizm społeczny, polityczny, gospodarczy i narodowy. Przypomnieć jednak można, iż proces „wrastania w nową glebę” rzesz osadników, pionierów był trudny, choć w znakomitej większości świadomy, głęboki i trwały.

Zarzuć mi może ktoś, że koloryzuję, przypominając, iż przecież obok „romantycznego pionierstwa” był na ziemiach zachodnich także bezprecedensowy szaber, że część gospodarstw systematycznie popadała w ruinę. Podróżując choćby po Dolnym Śląsku, Ziemi Lubuskiej, można było na tego typu zagrody jeszcze stosunkowo niedawno natrafić. Dziś wydłubną się Kotlina Kłodzka i wieś podsudeckie. Ale to są współczesne zjawiska, to już o sobny, nowy problem, wymagający oddzielnego potraktowania. Znakomita większość pionierów z lat czterdziestych potrafiła stosunkowo predko otrzaskać się z tęsknotą, ciężarów wojennych doświadczeń i zwyciężajnych, ludzkich obaw. Te obawy, ta ciężka na postawie niektórych swoista filozofia życia „z dnia na dzień”, były m.in. społecznymi skutkami wzmagającej się, zągęszczającej atmosfery „zimnej wojny”. Na postawach wielu, szczególnie ludzi starszych, ważyły skutki nie do końca przełamanej „kresowej mentalności” i nie zaw-

sze wysokiej świadomości politycznej oraz kultury osobistej osadników. Mścili się także błędy popełnione przez władze lokalne, sięgające czasami po środki administracyjnego przypieszenia procesu integracji tamtejszych społeczności. Należały także pamiętać o tym, iż w tamtym okresie, jak pisze Edmond Osmańczyk: „dokonała się największa w naszych tysiącletnich dziejach koltowana ludzi i rodzin, wiejskich i miejskich, małych i wielkich społeczności, wyrwanych przez huragan II wojny światowej ze swoich domostw, osiedli, krajobrazu (...) Dwie trzecie polskiego narodu, bynajmniej jeszcze w 1939 roku w pełni nieświadome narodowo w całości, znalazło się w 1945 roku poza swoimi domostwami w zupełnie odmiennych warunkach”. Kiedy sobie uświadomimy te fakty i wiele innych z dziejów „pionierstwa i wielkiej improwizacji” pierwszych lat powojennych, to wówczas zdamy sobie sprawę nie tylko z „pokoleniowej dramatyczności”, ale i politycznej złożoności.

PATOS PIONIERSTWA

Ważnym elementem jest także „patorstwo” — „patorstwo” — „patorstwo” — „patorstwo”. Sięgając po wspomnienia ludzi, którzy tamtą, powojenną, burzliwą rzeczywistość tworzyli, można natknąć się często na refleksje podobne do tej, zawartej w znanej książce Ryszarda Wojny pt. „Rozmowa z ojcem”. Z lektury tej zapamiętałem m.in.:

„Mimo trudności i konfliktowych sytuacji ten pierwszy okres zachowujemy na ogół w wdzięcznej pamięci. Dominował patos pionierstwa. Rossadala nas energia, Radość odbudowy znajdowała szybkie potwierdzenie w faktach. Świadomość, że stworzyliśmy historię była powściązka. Czy tworzyliśmy ją jednak tak, jak chcielibyśmy? Tak się nam wydawało. Dziś wiem, że nie jest w ludzkiej mocy stworzenie historii według własnych o niej wyobrażeń. Jej stawianie się określa wiele czynników, na które nie mamy wpływu...”.

Nieodparcie przychodzi na myśl Karol Marks i jego II Teza o Feuerbachu: „Filozofowie rozmawiają tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić”. Z drugiej zaś strony sformułowanie to wymaga jakby naturalnego, koniecznego uzupełnienia o pełną mądrości i socjalistycznego humanizmu, szacunku dla przeszłości i jej dokonania, tezę marksistowskiej dialektyki o tym, iż co prawda ludzie, narody, społeczeństwa, tworzą własną historię, to przecież nie czynią tego dowolnie. Nie sposób zapomnieć o tym, z czego wyrósłszy, o dokonaniach poprzednich generacji, stanowiących glebę, na której to stawali się sobą, co czynilo nas takimi jacy jesteśmy. Podobnie, nie można ignorować w zamiarze zmieniającego świata uwarunkowań, które tym starym światem, i światem w ogóle rządzą. One to determinują nasze działania: ograniczają je, redukują do minimum albo popychają naprzód. Bywa, że w hurarewolucyjnym porywie ta ostatnia prawda czasami, albo jedynie chwilami, umyka gdzieś z pamięci.

Wróćmy do patosu pionierstwa rozumianego tu nie jako maniera, nacechowana sztucznością i przesadą, ale wzniosłości, namiętności, entuzjazmu w pozytywnym, twórczym działaniu. Czasami słyszy się ubolewanie, że ów powojenny entuzjazm, gotowość do poświęceń całego niemal społeczeństwa, nie znalazły w późniejszych, także przełomowych okresach naszych dziejów najnowszych równie fenomenalnego powtórzenia.

Wrza i upartą cyklicznością przełomów uchodziła z nas wola i moc determinacji przezwyciężenia podziałów i uprzedzeń, spijania bez skrzywienia goryczy złych doświadczeń oraz przełamywania barier coraz to nowych trudności; chęć rozpoznawania raz jeszcze od nowa. Czym innym bowiem były „polski październik” i drugi ważny „miesiące” w polskim kalendarzu, a mianowicie — grudzień 1970 roku. Entuzjazm popaździernikowy był, pomimo podobieństw, fenomenem odmiennego rodzaju niżli powszechna w zasadzie, pozytywna odpowiedź społeczeństwa na gierkowski: Pomożcie? Jakościowa zmniejszenie podaż, a przede wszystkim dotąd niespotykane społeczne skutki miał wielomilionowy ruch pod hasłami solidarności, zrodzony po sierpniu 1980 roku itd....

Ktoś kiedyś próbował nasze dylematy powojenne kwitować stwierdzeniem, iż „socjalizm działa najskuteczniej na pierwszym etapie. Wtedy najłatwiej o wiarę, poświęcenie, entuzjazm. Wówczas efekty wysiłku społecznego przychodzą jakby same, bo od razu”. Kłopoty, w myśl tej tezy rodzą się później, tj. przede wszystkim wówczas, gdy rosną apetyty w miarę potwierdzania się w praktyce pierwotnych, podstawowych, fundamentalnych założeń ideowo-programowych. Z upływem pionierskich lat przychodzą trudności, a błędy, w tym także i te w jakimś sensie nieuniknione, przegradają się w sprzeczności. A jak wiadomo o polityce możemy powiedzieć także, że jest ona w pewnej mierze także sztuką rozładowywania w porę napięć społecznych, rozwiązywania skutecznie i prawidłowo sprzeczności; to — umiejętność niemarowania szans.

Fenomen zaś, to zjawisko nader rzadkie, niezwykle. W znaczeniu filozofii kantowskiej — rzecz sama w sobie, zgoda niepowtarzalna, ale i nieopowiadalna. O powojennym entuzjazmie napisano już sporo. Chyba jednak, jak dotąd, nikomu nie udało się w pełni opisać, zdefiniować go tak, aby wszystkim, szczególnie pokoleniom urodzonym po wojnie, stał się ów fenomen w miarę zrozumiały, głównie w warstwie przyczyn i uwarunkowań. Jest to być może przedsięwzięcie niemożliwe, choć dociekać wciąż chyba należy. W tak zwanej powszechnej świadomości społecznej tamten entuzjazm i żal, niepowtarzalny urok, patos rzeczywistości lat czterdziestych wydaje się być okrzepły w kształcie nie zawsze odpowiadającym złożonym wymiarom oddalającej się coraz przedziej rzeczywistości. Wspomnienia starszej generacji, jak i przyswajane przez młodzież często na tzw. słowo honoru romantyczne wizje, a może raczej interpretacje powojennego okresu, nie zawsze odzwierciedlają rzeczywistość stan wiedzy o latach rodzenia się nowej, ludowej Polski. Nielatwo jest płynąć pod prąd utartych opinii i utrwalonych mitów. Musimy jednak stale mieć w pamięci maksymę, iż myślenie historyczne tylko wtedy ma sens społeczny, jeśli służy przyszłości. Dlatego sądzę, iż do pięknej, a nawet w pewnym sensie potrzebnej mitologii powojennego entuzjazmu, przynależny jest choćby jeden aneks. Musimy bowiem pamiętać również o tym, że ów wielki wysiłek odbudowy, a potem produkcyjny całego narodu, a przede wszystkim nowe klasy robotniczej, nie był dostatecznie rekompensowany Zarobki w tamtych latach nie były wysokie. Do tego dochodziły trudności aprowizacyjne. Reglamentacja towarów nie pozwalała na dostatek nawet przy relatywnie dobrych zarobkach. Poza tym stan zdrowotny społeczeństwa polskiego, wycieńczonego wojną, pracą ponad siły, głodem i chorobami okresu okupacji, uciążliwymi zrywkami powojennymi, trudno było z medycznego punktu widzenia określić dobrym. Ponoszone w tych warunkach wyrzeczenia i wysiłek muszą w istocie zdumiewać. Nie mogły jednak trwać nie tylko wiecznie, ale i nazbyt długo. Prawdę tę uwydatnił z całym swoim dramatyzmem rok 1956. Październik, pomimo wielu gorzkości, czasami przesadnych ocen błędów i nieprawidłowości, kładących się cieniem na osiągnięciach pierwszego dziesięciolecia Polski Ludowej, nie przekreślił jednakże, nie zdawałował prawdziwych wartości dokonanej generacji entuzjastów i pionierów.

Dokończenie ze strony 1

przystępowano do budowy Centrum Zdrowia Dziecka mówiłem, żeby zamiast tego jednego szpitala wybudować 10 szpitali wojewódzkich. Dziś spotykam ludzi, którzy przyznają mi rację. Teraz gdy buduje się Centrum Zdrowia Matki mam podobne wątpliwości.

ODGŁOSY: — Dlaczego? Skąd te wątpliwości?

Z. TORZECKI: — Wiadomo przecież, że w Łodzi brakowało łóżek na oddziałach ginekologicznych. Jest to jedyna możliwość szybkiego ich zwiększenia.

Poza tym nie zgadzam się, że wybudowanie Centrum Zdrowia Dziecka było nieporozumieniem. Dzięki wybudowaniu tego szpitala rozwinięto się w Polsce wiele dziedzin pediatrii, a między innymi diagnostyka prenatalna, czyli badania płodu. Bez zbudowania CZD nie byłoby tego.

T. LEWY: — A Centrum Kliniczne Akademii Medycznej? Czy nie nastąpi opóźnienie w jego budowie? Czy nie można było przyspieszyć budowy Centrum Klinicznego AM i tam ulokować łóżka dla ginekologii? Moje wątpliwości idą w tym kierunku, że skoro szukamy sposobów na racjonalne i pełne wykorzystanie istniejących możliwości, to przecież szpital ten może być w dużej części nie wykorzystany. Przecież, ale kobieta nie składa się tylko z jajników i macicy.

Z. TORZECKI: — Jedno nie ma nic do drugiego. Ministerstwo nie da i tak więcej pieniędzy na budowę Centrum Klinicznego AM niż te, które są przewidziane w planie. Centrum Zdrowia Matki buduje się w czynie społecznym. I o tym nie można zapominać.

R. MACHNIKOWSKI: — Te wątpliwości wynikają z niedostatku informacji. A prawda jest taka, że Centrum Kliniczne AM niezależnie od tego, czy powstanie Centrum Zdrowia Matki, czy by nie powstało, i tak będzie ukończono do piero w 1990 roku.

T. LEWY: — Teraz ja zapytam, dlaczego?

R. MACHNIKOWSKI: — A dlatego, że taki jest przyjęty i stosowany w Polsce system finansowania i cyki budowania szpitali. Inna sprawa, czy on jest dobry, czy zły.

E. LENKOWSKI: — Nieporozumienie polega na tym, że wielu ludzi uważa, iż budowa Szpitala-Pomnika odbywa się kosztem nie tylko Centrum Klinicznego AM, ale całego łódzkiego budownictwa.

T. LEWY: — A tak nie jest? Tak przecież uważa się nie tylko w środowisku lekarskim.

E. LENKOWSKI: — Nie jest tak. Myli się zatem i pan, i środowisko.

KRÓTKI POBYT W SZPITALU, TO DOBRZE, CZY ZŁE?

ODGŁOSY: Uważa się, że sytuacja w ostatnich latach uległa poprawie, jeśli idzie o ilość łóżek szpitalnych, choć są również szpitale gwałtownie wymagające remontów. Jak w tych szpitalach przebiega leczenie? Czy właściwie są wykorzystywane?

Z. TORZECKI: — U nas jest fascynacja łóżkami szpitalnymi. Ciągłe chwalamy się, że co tam przybyło. Czy to pokazuje właściwy obraz?

ODGŁOSY: — Ale jak przyjdzie późle z wizytą do chorego w szpitalu, to można zobaczyć albo dostawiane łóżka w salach, albo na korytarzu. Wiadomo też, jak długo nieraz czeka się na miejsce w szpitalu. Dlaczego?

J. NAPIERAŁSKI: — To się wiąże z systemem kierowania do szpitali. Często tak się dzieje, że w szpitalu robi się jeszcze raz to samo, co już zrobił uprzednio lekarz w rejonie lub specjalista. To wymaga czasu i podraża koszty. Wpływa między innymi na zużycie leków.

W. GOS: — Na oddziale, gdzie pracuje prof. Rybiński wprowadził dość rygorystyczny, ale skuteczny system. Otóż pacjent przewlekły chorey otrzymuje termin przyjęcia do szpitala i musi przyjść już z kompletem przeprowadzonych w laboratoriach wyników badań diagnostycznych. W ten sposób już następnego dnia po przyjęciu można pacjenta operować. Skracca to znacznie pobyt pacjenta w szpitalu. I system ten zdaje egzamin.

Z. TORZECKI: — To już mówiliśmy, że sprawne działanie zaplecza diagnostycznego znakomicie potania leczenie. Ale można też do czasu pobytu w szpitalu podejść w inny sposób. W tych specjalnościach, które wymagają zabiegów, leczenie odbywa się nie w łóżku szpitalnym, ale na sali operacyjnej. Współczesna anestezjologia pozwala na przeprowadzanie dowolnie długich operacji. Wielogodzinne operacje nie są niczym nadzwyczajnym. Z tego punktu widzenia problem jest nie w ilości łóżek szpitalnych, ale ekip operacyjnych.

T. LEWY: — W szpitalach sale operacyjne po godzinie 14 są już puste.

R. MACHNIKOWSKI: — Bo nikt nie planuje zabiegów czy operacji po godzinie 14.

Z. TORZECKI: — Po godzinie 15 są już zamknięte również pracownie diagnostyczne. Ale to tak na marginesie. Wracam do mojej poprzedniej myśli. Jeśli chorey będzie dobrze i sprawnie zdiagnozowany, szybko zoperowany, to nie musi przechodzić rekonwalescencji w szpitalu. Na peryferiach miasta można postawić pawilon. W lesie, gdzie będzie jeden lekarz do zdemontowania szwów, parę pielęgniarek i po kłopotach. Taniej i lepiej nawet dla pacjentów.

W. GOS: — Szpital nie ma żadnego mechanizmu, który zmuszałby pacjenta do wyjścia ze szpitala. Pacjent zawsze wybiega u lekarza, aby go zastawił jeszcze na dzień lub dwa, bo w domu nikogo nie ma, bo to, bo tamto. I szpital ulega.

T. LEWY: — Istnieje ogromna społeczna presja na szpitale, społeczeństwo przy tym nie rozumie, że działa wbrew własnemu interesowi, że utrudnia właściwe gospodarowanie własnym dobrem. Mogę powiedzieć, że z tego powodu około 30 procent łóżek nie jest właściwie wykorzystywanych.

KĄŻDY SOBIE CZY WSZYSCY RAZEM?

ODGŁOSY: — Myślę, że warto zwrócić uwagę na fakt, że łódzkie szpitale przyjmują i leczą chorych z innych województw. Czy te województwa uczestniczą również w kosztach ich utrzymania?

E. LENKOWSKI: — Jest to dość trudna sprawa. Zastanawiamy się właśnie nad tym, jak ją rozwiązać. Łódzka onkologia leczy 51 procent pacjentów spoza Łodzi, a psychiatria — dwie trzecie.

R. MACHNIKOWSKI: — Nie można Polskę podzielić na 49 równorzędnych ośrodków i w jednaki sposób wyposażać we wszystko. Co potrzebne jest do leczenia ludzi. Jest to problem 10 albo 12 ośrodków, które — jeśli nie otrzymają pomocy, a leży to już w gestii rad narodowych województw ościennych — będą

Czy nasze lecznictwo da się zreformować?

Na co czekamy?

musiały się zamknąć przed pacjentami z zewnątrz. Byłoby to ze szkodą dla wszystkich. Musi więc być szybko rozwiązany problem partycypacji w kosztach leczenia onkologicznego czy psychiatrycznego.

T. LEWY: — Z opracowań Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że jeśli jakaś placówka służby zdrowia otacza opieką więcej niż 250 tysięcy ludzi, to dla zdrowia tych ludzi musi rozwijać wąskie specjalności. Uważam, że brak zainteresowania na przykład w Piotrkowie Trybunalskim czy w Skierniewicach sprawami psychiatrycznymi jest wręcz szkodliwy społecznie. Przecież każde z tych województw zasiedla więcej niż 250 tysięcy ludzi.

Podobnie wygląda sprawa z lecznictwem onkologicznym. Potrzebne są ośrodki onkologiczne, ale potrzebne są też takie oddziały na przykład w Sieradzu. Potrzebny jest bezpośredni kontakt lekarza onkologa z pacjentem. Wczesne stany raka może przecież operować chirurg. Do ośrodków onkologicznych powinni być kierowani ci chorzy, którym jest już potrzebne na przykład naświetlanie bombą kobaltową.

Ale u nas powszechne jest dążenie do budowania ośrodków i zaniechywania leczenia w terenie. To do niczego nie prowadzi. Od czego zależy skuteczne leczenie raka? Od lekarza pierwszego kontaktu, od świadomości społecznej, wyposażenia diagnostycznego. Nie zależy natomiast od centralnych instytucji medycznych. A my postępujemy zupełnie odwrotnie. Budujemy centra. Skutek jest taki, że późno się wykrywa raka i trudniej go leczyć. Taki system walki z rakiem jest nie tylko mało skuteczny, ale i bardzo drogi.

Z. TORZECKI: — Trochę się jednak poprawiło. Do 1978 roku tylko 6 procent ludzi z rakiem żołądka nadawało się do operacji, dziś jest ich już 12 procent. Ci ludzie mają szansę przeżycia. I to jest bezsprzeczny rezultat realizacji programu onkologicznego Komisji Zdrowia RN m. Łodzi. Opracowaliśmy też program m. in. kształcenia lekarzy onkologów. Był to program dla 5 województw, ale tylko Łódź się z niego wywiązała.

W. GOS: — Na miejscu powinien być lekarz pierwszego kontaktu, lekarz dobrze przygotowany do rozpoznawania i leczenia nowotworów, lekarz dysponujący niezbędną aparaturą diagnostyczną. Ale takich lekarzy nie ma. Co więc się robi? Podkupuje się ich z większych ośrodków.

R. MACHNIKOWSKI: — Kształcimy przecież lekarzy nie tylko dla siebie.

W. GOS: — Zeby to brano ich na stałe, to jeszcze bym nie przeciw temu nie miał, ale oni tam na ogół dojeżdżają. A to nie jest żadne rozwiązanie. Gdyby młodemu lekarzowi zaproponowano mieszkanie i dobre warunki w Piotrkowie Trybunalskim, to on by tam osiadł i byłoby to z pożytkiem dla mieszkańców tego województwa. A tak, jest to łatanina, która niczego nie złatwia, a przy tym kosztuje.

ILE TO WSZYSTKO KOSZTUJE?

ODGŁOSY: — Pomówmy więc o pieniądzu. Ile ich jest i jak je wydajemy?

Z. TORZECKI: — W skali kraju ponad 10 procent budżetu przeznaczane jest na ochronę zdrowia. W Łodzi na ochronę zdrowia i opieki społecznej idzie ponad 30 procent wydatków bieżących. To wcale nie jest tak mało.

J. NAPIERAŁSKI: — Nie jestem lekarzem, nie wypisuję recept, ale mogę powiedzieć, ile wydajemy na leki. W makroregionie, bo taki obsługujemy, w roku ubiegłym wydaliśmy na leki ponad 6 miliardów złotych. Ale w tej sumie więcej niż połowę, bo 3,5 milarda, stanowi dopłata państwa.

Spożycie leków ciągle wzrasta. Średnio w roku notujemy wzrost o 15 do 20 procent. To jest dużo. Przy czym warto może powiedzieć, że ceny leków wrosły niezmiernie. Wrosły ceny leków przeciwbólowych, ceny nowości Reszta pozostała bez zmian. Ludzie o cenach leków na ogół dowiadują się przy płaceniu 30 procent ich rzeczywistej ceny. Nie uświadomiamy sobie nawet jakie to kwoty wydajemy na leki. I dopóki system opłat za leki nie zmieni się, społeczeństwo nie będzie doceniało wartości tego, co otrzymuje.

ODGŁOSY: — A były jakieś propozycje zmian?

J. NAPIERAŁSKI: — Były i to nawet rewolucyjne. Proponowano podwyższyć ceny leków od 30 do 40 procent. Natomiast ci którzy do tej pory otrzymywali leki bezpłatnie, musieliby o-

placać ryczałty w wysokości 10 złotych od jednego leku. Zastanawiano się również nad tym czy nie wydzielić z urzędowego spisu leków tych, za które każdy będzie płacił 100 procent ceny. Byłoby to na przykład witaminy, ziola Wpływy z takich zmian byłyby niebagatelne.

ODGŁOSY: — Skończyło się na propozycjach?

J. NAPIERAŁSKI: — Trudno dziś, gdy dyskutowane są sposoby podwyższenia cen za artykuły żywnościowe, kiedy podwyższa się opłaty za gaz, energię, ciepło, podwyższa się czynsze proponować jeszcze rencieście czy emerytowi, aby płacił za lekarstwa. Z drugiej strony coś z tym trzeba zrobić, bo koszty leczenia rosną niewspółmiernie.

R. MACHNIKOWSKI: — Przy tych rozważaniach nie wolno zapominać o zasadach ustrojowych. Obowiązują tu pewne gwarancje konstytucyjne. Trzeba więc szukać takich rozwiązań, które nie byłoby sprzeczne z tymi gwarancjami i zasadami. Rozważano i takie propozycje, że

(2)

podniesie się jednorazowo płace o średnie wydatki na leki albo panstwo będzie dawało roczną rekompensatę. Rozważa się wiele różnych wariantów. Decyzje w tej sprawie nie zapadną chyba szybko.

Nie ulega jednak wątpliwości, że lecznictwo na całym świecie staje się coraz droższe. W Skandynawii gdzie szeroko rozwinięty jest system opieki społecznej i społecznych świadczeń, gdzie funkcjonują państwa typu opiekuńczego, coraz częściej zastanawiają się, czy udźwigną taki ciężar na dłuższą metę. Ale, na przykład w Finlandii, pobyt w szpitalu kosztuje, co prawda tylko jedną dziesiątą rzeczywistych kosztów, ale zawsze. I kiedy Fin przeliczy sobie, co za te pieniądze może kupić, to zastanowi się, czy opłaca mu się być w szpitalu dłużej, niż wymaga tego leczenie.

Z. TORZECKI: — W Finlandii chorey przebywa średnio w szpitalu 7 do 8 dni, a u nas 15.

R. MACHNIKOWSKI: — Dlatego u nas rodzina tak chętnie zostawia chorego w szpitalu? Niekiedy z prostego powodu — korzysta z jego kartek, a jego żywi szpital.

ODGŁOSY: — Jest pan tego pewien?

R. MACHNIKOWSKI: — W zupełności. Proszę pamiętać, że u nas panuje przekonanie, iż wszystko się wszystkim należy i jest bezpłatne.

ODGŁOSY: — Ale funkcjonuje i takie przekonanie: żeby lekarz dobrze leczył, to trzeba mu dać — powiedzmy — prezent.

R. MACHNIKOWSKI: — Jest takie przekonanie. Ale są też i inne. Oto przykład. Przyjeżdżamy trudności z paliwami. Musimy oszczędzać. Nakazalem więc, aby nie przewozić bezpłatnie tych pacjentów, którzy mogą sobie sami zorganizować transport. Nakozyliśmy na lekarzy obowiązek decydowania, czy chorey wymaga bezpłatnego transportu, czy też może jechać tak-sówką lub może go odwiedzić rodzina. Skutek tego był taki, że musiałem wysłuchać wielu skarg na siebie i na lekarzy ze szpitali, że odmówiliśmy ludziom tego, co im się należało. I żeby to się skarzyli ci, których rzeczywiście trzeba było przewozić sanitarnym transportem. Nie.

IAK WYDAWAĆ PIENIĄDZE?

ODGŁOSY: — Wszystko drożeje, ochrona zdrowia też. Ale przecież to same pieniądze można wydawać w różny sposób.

T. LEWY: — W NRD na przykład dyrektor szpitala dostaje określoną sumę i jego sprawą jest jak ją wyda, byle wydał na cele szpitala. Przy wprowadzaniu reformy mówili się, że będzie obowiązywało samofinansowanie się. Szpital nie fabryka, pieniądze nie zarobi, ale wydawać może z pożytkiem, rozumnie, oszczędnie i racjonalnie. Czy teraz w Wydziale Zdrowia pod koniec roku też kupujecie co się da, aby tylko wydać pieniądze?

R. MACHNIKOWSKI: — Jak tych pieniędzy nie wydajemy, to w przyszłym roku nam obetną.

ODGŁOSY: — A co z reformą w służbie zdrowia?

E. LENKOWSKI: — Reforma służby zdrowia po prostu nie obija.

Z. TORZECKI: — A mnie przekonywano, że tak i nawet mam odpowiednie materiały na ten temat.

E. LENKOWSKI: — Powinno obowiązywać taka zasada, że jak ktoś dobrze gospodaruje otrzymanymi funduszami, oszczędza, to powinien coś z tego mieć. A tu nie. Taki układ nie sprzyja racjonalnej gospodarce.

R. MACHNIKOWSKI: — Obowiązuje ustawa o prawie budżetowym.

E. LENKOWSKI: — To wiem, ale my dyskutujemy o tym, jak racjonalnie wydawać pieniądze, a nie jak je marnotrawić. Proponuję więc takie rozumowanie, że rygorystycznie musi obowiązywać prawo budżetowe na szczeblu państwa. Natomiast inne zasady muszą być opracowane dla ZOZ czy szpitala. Tu nie można ogół zamienić w sekretarzyk z szufladkami i postanowić że z każdej szufladki wydajemy tylko na określone cele. Dyrektor ZOZ czy szpitala musi mieć swobodę w wydawaniu pieniędzy według określonych potrzeb. Musi to robić mądrze i odpowiedzialnie.

W. GOS: — Jak nie będzie tak robił, to go się zdejmie.

E. LENKOWSKI: — Teraz jest tak: szpital otrzymuje określoną kwotę na malowanie ścian i inne drobne remonty. Gdyby było trzeba zrobić coś więcej, to już nie można, bo to będzie

remont kapitalny i wtedy jest na to specjalna szufladka, a w niej akurat nie zaplanowano żadnej kwoty.

ODGŁOSY: — I co się wtedy robi?

E. LENKOWSKI: — Szukę dla sztuki, czyli jak obejść przepisy. Ktoś tu mówił, że sale operacyjne są po godzinie 14 zamknięte. Są bo nikt nie będzie operował po godzinie 14, gdyż są to już nadgodziny i trzeba za nie płacić, a nadgodziny są limitowane.

ODGŁOSY: — Prawda jest i taka, że po południu większość lekarzy pracuje w innych placówkach służby zdrowia, gdzie dorabia je pensji. Śląd skargi na lekarzy, że spóźniają się, że są przemęczeni, nieuważni, myślą się i tak dalej.

E. LENKOWSKI: — Jeszcze raz w sprawie zmian w budżecie. W świetle nowych przepisów nie tylko dyrektor Wydziału Zdrowia nie ma prawa dokonać zmian zaplanowanych sum, ale również nie może tego zrobić nawet prezydent. Może tego dokonać tylko sesja Rady Narodowej Miasta Łodzi. A Rada Narodowa zbiera się raz na kwartał.

Z. TORZECKI: — Dlatego upoważniliśmy do podejmowania takich decyzji prezydium Rady Narodowej.

W. GOS: — Ale to rozwiązuje sprawę dysponowania pieniędzmi w skali województwa, a co ma robić dyrektor szpitala? Nadal ma związane ręce paragrafami i musi lawirować między potrzebami a przepisami. Skoro już ma być reforma, to trzeba dać dyrektorowi większą swobodę, zaufać mu i rozliczać go z wykonywanych zadań.

CZY MOŻNA LEPIJ?

ODGŁOSY: — Z przebiegu dyskusji wynika wyraźnie, że ludzie pracujący w służbie zdrowia widzą nie tylko niedostatki systemu ochrony zdrowia, ale też i sposoby ich likwidacji. Powstaje zatem pytanie: dlaczego ciągle się o tym tylko mówi, a nie robi się tego? Przecież leży to w interesie nas wszystkich.

Z. TORZECKI: — Przyczyny są bardzo różne. Trudno powiedzieć, że się nic nie robi. To właśnie w Łodzi powstało kilka ciekawych i pozytywnych inicjatyw. Tu narodził się pomysł połączenia lecznictwa otwartego z zamkniętym.

R. MACHNIKOWSKI: — Powstał tu klimat dla prac nad aparaturą medyczną, zainteresowano się tym w Politechnice Łódzkiej, zainteresowali się producenci.

Z. TORZECKI: — Doktorzy Lewy, Brzeziński i Olszewska przed 17 laty wprowadzili kontrolę jakości badań diagnostycznych. Dzięki temu mamy najlepsze wskaźniki w Polsce. Dr Brzeziński prowadzi teraz badania jakości diagnostyki w kraju, a jego doświadczeniami zainteresowano się w skali RWPW.

E. LENKOWSKI: — Ale są i działania pozorowane. Mamy wiele placówek naukowych, które działają efektywnie, występują z nowymi rozwiązaniami. I próżno na te nowości czekać. Taka praca jednak też kosztuje. Tylko jak im powiedzieć, że pracują na jałowym biegu? Z budżetu służby zdrowia korzystają również różne organizacje czy towarzystwa o charakterze usługodawczym. Szczerze mówiąc efekty ich działalności także nie widać. I znowu problem — jak im to powiedzieć?

T. LEWY: — Czasem trzeba powiedzieć wprost. Ale jest i inny problem — to ludzie odpowiedzialni przygotowani do kierowania pracą w służbie zdrowia. Czy u nas kształcą się takich ludzi? Na ogół sami dochodzą do pewnej wiedzy metodą prób i błędów, to też kosztuje.

R. MACHNIKOWSKI: — A jak się już czegoś nauczą, to ich się zmienia.

T. LEWY: — Potrzebna jest szkoła organizatorów służby zdrowia. I trzeba do tej szkoły zapraszać praktyków i teoretyków z innych krajów.

W. GOS: — Tylko czy warto tracić dobrego lekarza, żeby zrobić z niego dobrego administratora?

R. MACHNIKOWSKI: — Na pewno nie. Ale jak w szpitalu nie będzie dobrego administratora, to lekarz będzie tracił czas, aby kupić dla szpitala szufladki, kubki, załatwić murarzy i tak dalej.

T. LEWY: — Zeby te wszystkie mechanizmy, o których do tej pory mówiliśmy zaczęły inaczej funkcjonować, musi wreszcie zacząć działać ustawa o radach narodowych i samorządnych terytorialnych. Sprawami funkcjonowania systemu ochrony zdrowia zajmują się na ogół urzędnicy, a powinny zająć się komisje rad narodowych wszystkich szczebli.

Dyskusja o tym, jak zreformować system ochrony zdrowia nie może ograniczać się tylko do ludzi służby zdrowia. Opinie specjalistów są potrzebne, ale dyskutować muszą również ludzie z innych środowisk. W ten sposób poznają całą złożoność tych problemów. Wytworzy się — być może — społeczna presja. Wtedy i propozycje zgłaszane przez specjalistów nabiorą innej wartości, stana się nie tylko wewnętrzna sprawa służby zdrowia. Łatwiej będzie je realizować, gdyż są potrzebne. Wszak biorą się z troski o to, abyśmy jak najlepiej służyli ludziom.

Z. TORZECKI: — Trzeba to powiedzieć wyraźnie. Zmiany systemowe są konieczne i muszą być dokonane, ale potrzeba na to lat, potrzeba czasu. Natomiast już teraz, niemal od zaraz, można i trzeba usunąć wszelkie paradoksy, nonsensy, nieżywciove przepisy. Z tym nie ma się na co oglądać.

R. MACHNIKOWSKI: — I jeszcze jedną rzecz trzeba dopowiedzieć aby obraz był wyraźny i pełny. W systemie ochrony zdrowia musi nastąpić przełom, musi się ten system zmienić. Ale tych zmian nie można odrywać od całokształtu polityki społecznej państwa. Ochrona zdrowia jest częścią tej polityki i od niej zależy. Nasze lecznictwo oczywiście da się zreformować ale reformy te należy widzieć w całokształcie zmian dokonujących się w polityce społecznej PRL.

Przygotowała i opracowała:
BOGDA MADEJ

7.

Wiosną okazało się, czym jest ta ulica, chyba na ironię nosząca arystokratyczne miano. To także był relikwiarz przedwojennych czasów, którego być może nikt nawet nie zauważył. Pewno dlatego, że ukryty był na peryferiach. Książę Józef Poniatowski w bliskim sąsiedztwie żołnierzy. Czyż nie o to chodziło? Bo reszta całkowicie nie pasowała do bohatera znanego Elstery. Kiedy stopniały śniegi, ulica zmieniła się w bajkę nie do przebycia. Trzeba było znać tu każdy kamień, zawiązać ścieżkę twardszego gruntu urywając się raz za razem, inaczej marny był twój los. Jedno było pewne, kiedy już wydołałeś się na drogę prowadzącą do miasta, wystarać rzut oka na czyjeś buty, żeby wiedzieć kto jest kto. Wiosną miałem stale przed oczami tę zólitą głębią wciśniętą w najmniejsze szpary. Godzinami czyściłem swoje buty i buty ojca. Zwłaszcza jego, bo był wymagający, a przy tym wszystkim miał cholernie ciężką rękę.

Mój stary to typowy twardziel. Trochę rude, kręcone włosy, szczupły, żyłasty i piekielnie silny. Pełnymi zdaniami mówił tylko wtedy gdy kłął. Poza tym prawie nie puszczał pary z gęby i harował od świtu do nocy. Odpoczy-

Ulica

wał w pociągach. Bo chyba odpoczywał, kiedy nie musiał wymachiwać widłami, orać ziemi stawiąc domu. Wiesz, pracował na kolei, był konduktorem. Konduktor niby nie ma czasu na drzemkę, ale zawsze wykorzysta choćby minutę, żeby przymknąć oko. Z tamtych czasów pamiętałem jedno: zniknąć z oczu ojca, kiedy jest trzeźwy i zły. Nie zawsze to mi się udawało. Błogosławiłem wszystkich świętych, kiedy wracał z pracy, prowadząc rower z jednej strony ulicy na drugą. Miałem wtedy upragnioną wolność, na te kilka godzin.

8.

Nie zrozumiesz tego. Byłem kimś w rodzaju niewolnika. Wszyscy byliśmy jego niewolnikami: ja, matka, brat, dwie siostry. Dał nam twardą szkołę. Wydział wszystko, nawet zarcie i łaj za byle co. Czasami wstydziliem się rozebrać na wuefie, taki byłem sprany. Wpadal we wściekłość z byle powodu. Kiedyś, gdy zauważył, że nie pilnuję owiec, zawołał mnie, pokazał drzewo rosnące w dole, bo nasz dom stał na górze, niżej była łąka, a dalej rzeka i koszarzy. Kazał mi biec do tego drzewa, dotknąć go i wrócić pod górę biegiem. Przekonał mnie tak trzy razy. Przysięgłem sobie, że go zabiję. To samo mówił mój brat.

9.

Powiedziałem, że mój stary hodował owce, ale tutaj wszyscy coś trzymali. W połowie ulicy mieszkał facet, który miał stado krów i owiec. Pamiętam jego ponure, ciemne od brudu oblicze, obwisła dolna warga, pochylona postać, idąca kołysząc się krokiem w ślad za swoim stadem, pośród beczenia owiec i krowich gównien spadających na zryta kopytami ulicę. I nie tylko on przeganiał wtedy swoje stado. Takich ludzi było tu więcej. W tym czasie trzech facetów wylądowało na księżycu i możesz być pewien, że wielu z tych ludzi w to nie uwierzyło.

10.

Początek ulicy stanowiła niewielka ferma kur, kończył ją zaś na dużej skale prowadzony tucz świń. Dalej otwierał się widok na ciągnące się szerokim pasmem łąki wzdłuż strumienia do którego zejść można było wąską ścieżką odpowiednią dla nóg i rowerów. Stamtąd widać było cmentarz. Pozostała okolice stanowiły pola, sady, porozrzucane tu i ówdzie domy. W promieniu półtora kilometra każdy wiedział o każdym prawie wszystko. W miarę wydłużania się tej odległości, wiedział już tylko to i owo. Możesz z tego wyłączyć miasto, ale też nie w stu procentach.

11.

Miałem zamkniętą karierę. Stary powiedział: Zadnych nauk! Byłem mu potrzebny do wypasania owiec. Kiedyś spojrział na mnie i w przyływie lepszego humoru wyjął swoje plany w stosunku do mojej osoby. — Pójdziesz na kolejkę! — oświadczył. Było to coś więcej niż wyrok.

12.

To fakt, że do pewnych rzeczy nie miałem głowy. Lubiłem bujać w obłokach i meczyłem się w szkole. Mój na pół cywilizowany ojciec przeziął mnie na wylot. Gdyby nie to, że zmuszał mnie do ciężkiej harówki, której ani końca, ani sensu nie widziałem, nie mógłbym mieć do niego pretensji. Natomiast miałem do niego pretensję o to, że z takim oporem przyjmował wszystko, co dla innych stawało się chlebem powszednim. Telewizor kupił chyba jako jeden z ostatnich na tej ulicy. Przywiózł go na wozie zaprzężonym w konie, owiniętego w koc. Całe życie nie zapomnę późniejszych celebracji przed ekranikiem wielkości szkolnego zeszytu.

13.

Później wykończyliśmy dom i rozpoczęła się galopada, której początku nie potrafię dokładnie wskazać. Rozumiesz? Dokładnie! Ona przeobraziła nasze życie. Zaczęło się chyba od tego, że ktoś wpadł na pomysł skrócenia drogi przelotowej przez ten nasz graidolek. Na ten skrót idealnie nadawała się ta ulica. Któregoś dnia wbito drewniane kolki w pobocza i dla wszystkich stało się jasne, że jest to coś nieodwracalnego.

14.

Nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Możesz to zrozumieć tak, że nie wszyscy zadowoleni byli w tym samym stopniu. Ta ulica była dotąd jak wyspa, żyjąca własnymi sprawami, oddalona od świata, który istniał obok i tylko do czasu do czasu dawał o sobie znać na przykład wtedy, gdy wjeżdżała tu jakaś obryzmia ciężarówka z nieznaną misją, którą trzeba było dopiero odgadnąć.

15.

Było jeszcze coś, co równie skutecznie wywróciło tuje życie do góry nogami. Prawie jednocześnie z budową trasy przelotowej naszą ulicą rozpoczęła regulację rzeki, którą dodatkowo, w najważniejszym miejscu kotliny, postanowiono spiętrzyć. Rzeka była niewielka. Latem robiliśmy z nią to, co nam się żywnie podobało. Niezbyt głęboka, wyłobiona przez tysiąclecia kotlina była terenem pastwisk, które wykarmiały tabuny owiec i kilkanaście krów. Któregoś dnia rozpoczęły się prace przy zaporze, a później przyjechał spychacz i rozpoczął dzieło niszczenia łąk.

16.

Wszystko razem trwało kilka lat. W tym czasie pozniaki z ulicy krowy, przetrzebiły się owce. Mój stary sprzedał wóz, dwie chabety i zapisał się na prawo jazdy. Po drugiej stronie ulicy, gdzie rozciągały się pola, rozpoczęło wykupywanie ziemi na działki budowlane. W ten sposób mojego starego pozbawiono balastu, którego sam nigdy by chyba nie zrzucił. W domu mówiono o kupnie samochodu i o tym, co będzie dalej. Mimo wszystko było trochę obaw. Ja skończyłem zawodówkę i poszedłem na kolejkę. Zostałem konduktorem. Stary postawił olbrzymi drewniany hangar i nakupił kur. Któregoś dnia zajeżdżał przed dom używanym „Zukiem” i to już było coś po czymś takim, co przeżyliśmy.

17.

Harowaliśmy jak dawniej, bo tunele foliowe zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Nie tylko u nas. Naokoło, kto mógł przestawiał się na ogrodnictwo. Zniknęła hodowla świń na końcu ulicy, a pojawiły się szklarnie. Koniec ulicy przestawał być końcem, bo sypano już groble przez strumień, którą miała iść dalej ulica, aż do drogi prowadzącej obok cmentarza. Właściciel tych szklarni kupił „Mercedesa” i postawił go na podwórku i czekał, kiedy ulica wyłożą asfaltem.

18.

Nastąpić też musiał taki dzień. Ja i stary chyba o tym wiedzieliśmy. Stary wprowadził nie panoszył się tak jak dawniej, ale czasami zdarzało mu się zapominać. Toteż w końcu jakiś jego rozkaz trafił w próżnię. Może nawet wolałby się wycofać, tak myślał teraz, ale był za uparty, żeby coś w sobie zmienić. Wtedy ostatni raz podniósł na mnie rękę. Znokautowałem go, choć z tego wszystkiego dygotałem jak galareta. Chyba z pół roku nie odzywaliśmy się do siebie, ale wiesz, on nigdy za dużej nie mówił.

19.

Ulicą zaczęły przejeżdżać samochody. Nie było już egipskich ciemności, z miasta wracałeś suchym chodnikiem. Po drugiej stronie ulicy zrobił się budowlany ruch, zwożono materiały i nawet nocami słyszałeś chrapliwy warkot betoniariek. Natomiast kiedy robiło się zupełnie cicho, można było złapać uchem odległy monotonny szum spadającej z zapory wody.

20.

Ulicą przeciągały teraz pogrzeby, bo nie musiano już z kościoła do cmentarza dojechać okrężną drogą. To jedyny mankament, do którego trzeba się tylko przyzwyczaić. Pojawily się także autobusy komunikacji miejskiej, choć na tej ulicy wyglądają one nieco groteskowo, zwłaszcza gdy przymkniesz oczy i wyobrazisz sobie tego faceta idącego za stadem krów i owiec. Matka mówiła, że umarła jego żona. Wczoraj widziałem go jak szedł z wianem kwiatów w stronę cmentarza.

21.

Ja jestem tu w przelocie. Teraz mam urlop. Wpadłem do starych. Nie jest im źle, chociaż ojciec stał się jeszcze bardziej skąpy niż był. Ale ja nie potrzebuję od niego nic. Zrobiłem maturę, nauczyłem się języka angielskiego i teraz jeżdżę po świecie na swojej bryczce. Tak kiedyś rzuciłem pracę na kolei, ponieważ chciałem zerwać ze wszystkim, zatrzeć o sobie ślady. To nie było potrzebne, ale pomogło mi zmienić życie. Oddałem się od tej ulicy, ale tylko pozornie, bo ona przyciąga mnie nawet wtedy, gdy jestem w Stambule czy w Oslo. Ciągle ją mam przed oczami.

WŁADYSŁAW MALKA

Ewy pracują w Raju

— Dlaczego one tak się męczą?

— Ponieważ chcą być zgrabne, mieć ładne sylwetki, młodszy obwód talii, poprawny kształt piersi i nóg.

— I ciężka fizyczna praca przenoszenie kupy glomu czyni z kobiety superzgrabną miss!

— No nie, konieczne są jeszcze wyrzeczenia...

— Na przykład celibat...

— Nic podobnego. Trzeba przestrzegać diety niskokalorycznej: jeść tylko ryby, kurczaki, jajka, sery...

— Stop, wystarczy! A kto ma stać w kolejkach po te ryby i kurczaki?

— Oczywiście panowie, którzy chcą mieć zgrabne dziewczyny i żony. Tylko w ten sposób można zrzucić nadwagę. U

nas traci się zbędny kilogram w ciągu tygodnia.

— Po co zarządzać. Znam lepszy sposób — nie jeść.

— To niepraktyczny sposób.

— Czy kulturystce łatwiej nosi się torby z zakupami?

— Może nie łatwiej, ale za to na pewno ładniej.

— Jest pani jedyną w Polsce instruktorką kulturystyki?

— Już nawet z tego zawodu kobiety chcą odprawić mężczyzn!

— Nie, ale nasza damska kulturystyka wymaga innego rodzaju ćwiczeń. Instruktor-mężczyzna nie bardzo wie co się robi z dziewczynami.

— Na sali...

— Wyłączcie! Mówimy wyłączenie o sali ćwiczeń.

— Tak też myślałem. Proszę mi powiedzieć, czy te ćwicza-

ce panie są tu dlatego że mają jakieś kłopoty życiowe, może mają agresywnych mężów, nastawionych sąsiadów...

— Gdyby tak było, to po kilku tygodniach treningu porządnie się kłopotów raz na zawsze. Prawdę mówiąc, kulturystki nie są skorzy pokazywać swojej siły, ale...

— Czego nie wolno mówić o kulturystkach?

— Ze to są baby-chłopy.

— Rozumiem. Dziękuję za o-

strzeżenie.

Z Krystyną Parteką, instruktorką kulturystyki w Specjalnym Ośrodku Cwiczeń Siłowych „Raj”, rozmawiał

ROMAN KUBIAK

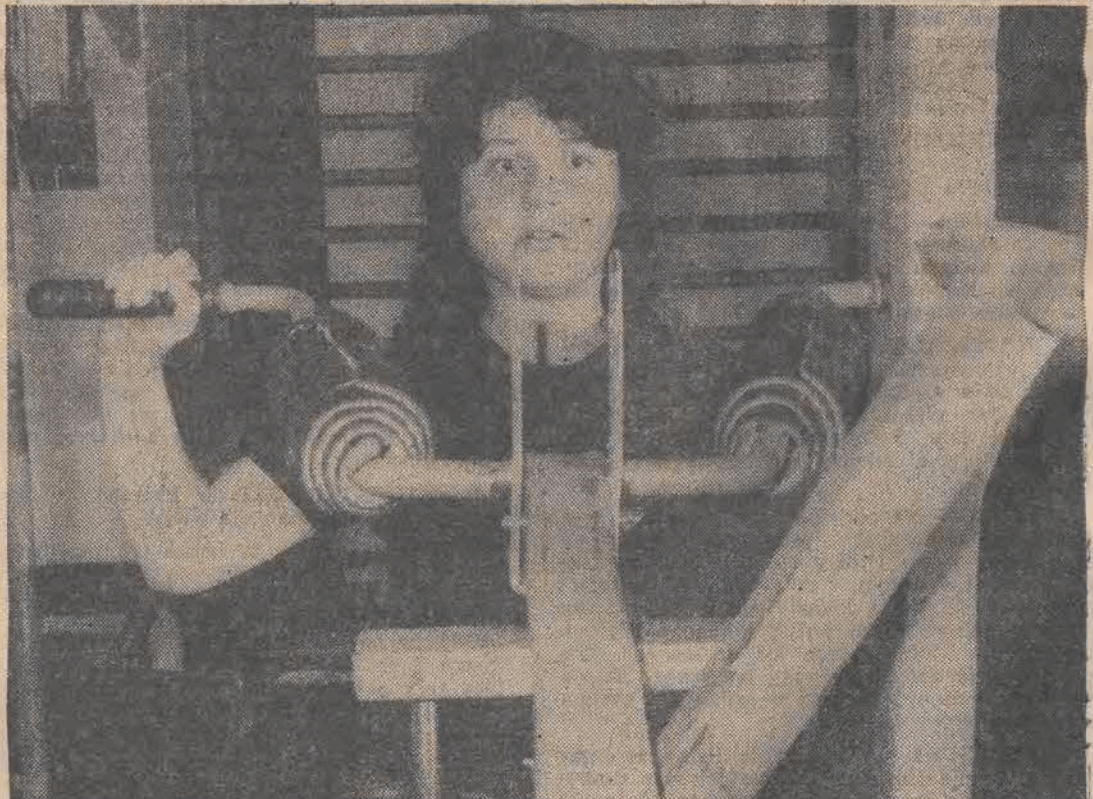
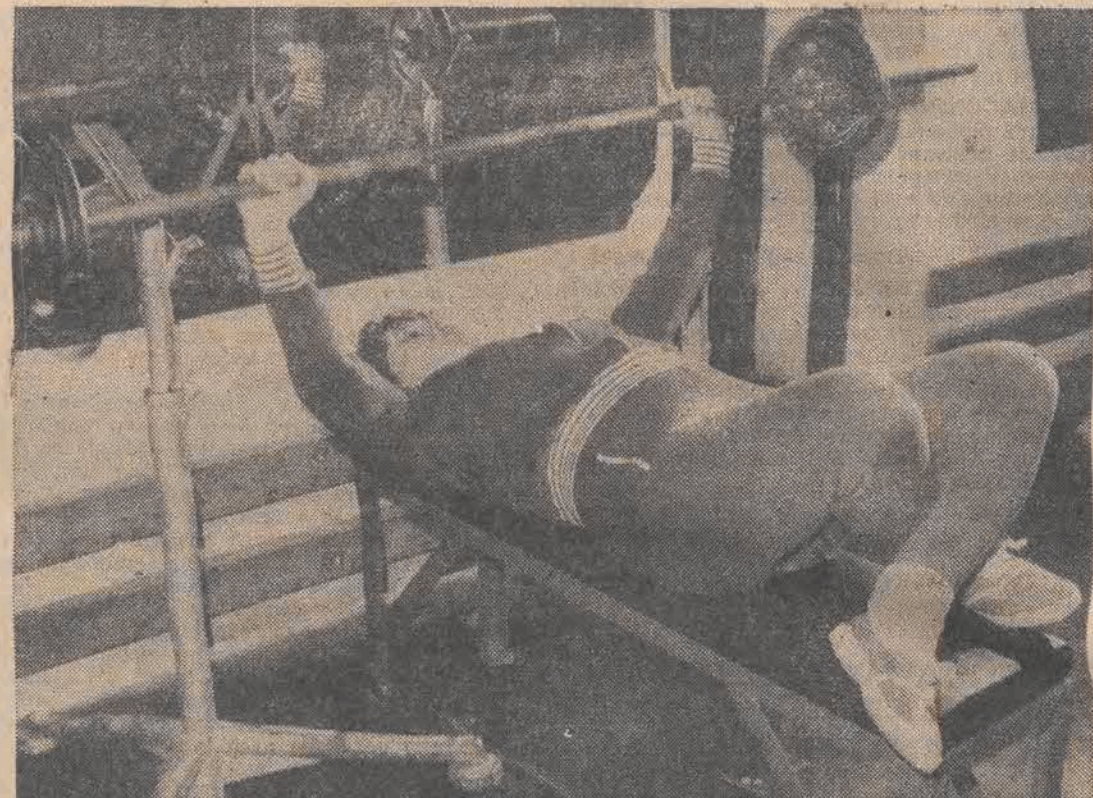


Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Dokończenie ze strony 1

urzędowo uprzejme kasjerki. Szyku zadaje tylko gabłota w której umieszczane są ostatnie notowania dolara do innych, wymienialnych walut. Może trochę częściej spótyka się osoby ubrane w kożuski. Czasami pachnie dobrymi kosmetykami. Pomadki od pani Rubinstein, puder firmy Max Factor, perfumy Chanel (Soir de Paris już wyszło z mody) są jednak rzadko używane na co dzień.

Przed okienkami, jak na zwykłej poczcie w dniach przyjmowania opłat za światło, gaz i komorne długie kolejki. W ubiegłym roku obsłużano tu około 300 klientów dziennie. Teraz, po ogłoszeniu nowych przepisów, ponad 800. Większość dopłaca średnio po 300 dolarów. Otwarło to 2000 nowych kont. W ciągu ostatniego miesiąca przyniesiono do banku 4 mln dolarów. Przez cały tamten rok 5 mln. Wszyscy chcą założyć konto „A” poki jeszcze jest czas.

Pieniądze są tak ogromne, że przestają działać na wyobraźnię. Dla przeciętnej człowieka, który ma najwyżej kilkaset złotych. Kwota 900 mln USD zupełnie nie ma wyrazu, a tyle w sumie nagromadzili Polacy na rachunkach indywidualnych. Udział rodzin wynosi ponad 32 mln. Samych oszczędności przy Piotrkowskiej wypłacono w 1984 roku 1.900 tys. USD.

Godzina w sejfie

W skarbcu jest tylko niewielka część z tych 32 milionów. Pieniądze nie mogą spokojnie leżeć w sejfie. Muszą na siebie zapracować. Muszą być ciągle w ruchu. Już Wokulski mówił, że dobry interes polega na ciągłym obrocie gotówki. Dlatego też każdego ranka, pilnie strzeżona furgonetka zawozi część dziennych przychodów banku do Warszawy Centrala umiejętnie lokuje gotówkę w bankach zachodnich czy w Banku Handlowym, który daje wyższy procent niż PKO SA, kupuje akcje i inne papiery wartościowe, inwestuje w kraju i za granicą, spekuluje na giełdzie (tak, tak). Tym sposobem печниwia miliony.

W łódzkim skarbcu przechowywana jest tylko rezerwa kasowa na bieżące potrzeby. Raz okazało się, że rezerwa była za mała. „Latem 1981 r. w kasie na kilka godzin zabrakło pieniędzy. Nad krajem wisiała wtedy groźba strajku generalnego. Wśród naszych klientów zapanowała panika. Każdy kto miał jakieś pieniądze, chciał je jak najszybciej wycofać, trzymać przy sobie. I zdarzyło się tak, że jednego dnia furgonetka z gotówką nie zdążyła na czas przyjechać do Warszawy. Ludzie wdarli się do mojego gabinetu. Przewrócili palme. Łódzka, która stoi przy drzwiach znalazła się na środku pokoju.

Pracownicy banku prywatnie samochodami, czynnie kto miał, jeździli od Pewexu do Pewexu i ściągali dosłownie po kilkaset dolarów. Musieliśmy wydawać numerki tym, którzy przyszli przed godziną 18. Tego dnia pracowało tylko do 23. Drżałem na myśl o tym co się może stać, gdy przyjdzie po swoje pieniądze rodzina. Tym ma na koncie trafiona. Oni jednak wytrzymali nerwowo.

Milionowe konta trafiają się rzadko w naszym kraju. Paraset tysięcy zdarza się częściej. Są to przeważnie spadki z zagranicy, ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Argentyny. Mam klientkę, która odwiedza bank raz w roku. Biegnie do niego w wysokości 33 tys. USD. Można żyć.

Określenie „opieka” w nazwie Banku nadal jest w pewnym sensie uzasadnione. Nie tak oczywiście jak w chwili powstania w roku 1929. Wtedy miał pośredniczyć w opiece zamożniejszych emigrantów nad rodzinami pozostałymi w kraju, pomóż przyjmowanie niepodległości przekazy nabywały za pośrednictwem różnych zagranicznych instytucji finansowych, które wykorzystując deprecjacje marki polskiej wypłacały adreasatom ulamek pierwotnej wartości.

Do ambasady polskiej w Waszyngtonie, w 1920 roku wpłynął list „Na miłość Boską, Excelencjo, racz się zmiłować i zająć sprawą poczty do Polski. Lud się buri, przeklina i zaufanie traci do Pułkownika Rządu i jego Przedstawicielstwa, albowiem mówi się dużo górnolotnych rzeczy, a co najważniejsze jest zaniedbane”.

Na porządku dziennym były wypadki otwierania przedsiębiorstw o charakterze bankowym które zwabiały klientele o procentowaniu emigracyjnych, sięgających nieraz fantasiale odsetek cyfr 50-60 proc. w stosunku rocznym. Jednym celem tego rodzaju przedsiębiorstw było wydłużanie możliwie największych sum od łatwości i słabo się orientującej klienteli polskiej, by następnie dyskretnie ulotnić się wraz z zebrałą gotówką. Takli stan rzeczy poza wyrządzeniem bezpośrednich szkód materialnych emigracji polskiej podrywał zaufanie robotnika do wszelkiej rodzaje banków „polskich”, „warszawskich”. Brak akcji państwowej w tej dziedzinie stwarzał właściwie sytuację bez wyjścia.

Konkretne działania podjęto dopiero 29 października 1929 roku, kiedy to Sąd Okręgowy w Warszawie zapisał w rejestrze handlowym utworzenie spółki akcyjnej Bank Polska Kasa Opieki! SA.

W skarbcu wzdłuż wszystkich ścian stoją kasy pancerne pomalowane na kolor będący mieszaniną szarego i zielonego. Po lewej stronie obitych blachą albo wykonanych całkowicie z metalu drzwi znajdują się maleńkie, trochę podniszczone stoliki. Samo pomieszczenie jest niewielkie. W pierwszej chwili rozczerawuje „Tu nie jest tak jak w Narodowym Banku Polskim — mówi mi prowadzący — gdzie skarbiec jest ogromny, a pieniądze leżą poukładane na półkach. Dolar ma jednak większą wartość a przez to zajmuje znacznie mniej miejsca”.

Każda kasa zawiera co innego. W jednej są waluty krajów kapitalistycznych, w innej socjalistycznych, gdzie indziej bony, numery, zmaty, złotówki. Tak, tu trzyma się również wcale niemało złotych. Stają firmom kolejno i ich własnością. Pewnego razu, jeden z szefów tegoż przedsiębiorstwa wziął do waziki 10 milionów.

Jak wygląda milion złotych? Bardzo prozaicznie. Zajmuje mniej miejsca niż dwa kieszonkowe noty złożone razem. Są to dwa pakiety, po sto sztuk, banknotów z wizerunkiem Choynka. Oba przepasane banderolą z banknotów i wizerunkiem 100x5000. Trzymam w ręku milion i nie czuję.

Skarbnicy traktują pieniądze jak zwykłe papiery. „Człowiek się uodparnia — mówi — kiedy dziennie przechodzi mu przez ręce kilkaset milionów”. Otwieramy kolejną kasę. Znajdują się w niej

zagraniczne banknoty przygotowane do wysłania jutrzejszym transportem. Marki, funty, dolary, franki i inne waluty wymienialne zapakowane w szare koperty, razem po przeliczeniu mają wartość prawie 170 tys. dolarów. Rachujemy ile to jest w złotych, co po kursie czarnorynkowym. Wychodzi 102 mln. To już dość.

Korzystając z chwili szczeroci, na jaką pozwala pobyt w najbardziej strzeżonym miejscu Banku pytam kim są akcjonariusze Spółki Akcyjnej PKO. Dyrektor Poniatowski mówi, że nie wie. Pytani o to same w Poronach Sygnalach jeden z przedstawicieli zarządu też dał wymijającą odpowiedź.

Z całą pewnością sami akcjonariusze albo ich przedstawiciele zasiadają w zarządzie. Kim są ci ludzie? Sprawa ta nie daje mi spokoju. Postanawiam więc przy najbliższej okazji poszperać w dokumentach. Zaczynam od studiowania statutu. Odpowiedni paragraf brzmi: „Kapitał akcyjny Banku wynosi 2.000.000.000 (dwu miliardy) złotych i podzielony jest na 100.000 (sto tysięcy) sztuk akcji na okaziciela po 20.000 (dwadzieścia tysięcy) złotych nominalnej wartości każda. Akcje mogą być emitowane w odcinkach pojedynczych i zbiorowych”.

Od pracowników Banku dowiaduję się, że w czasach „Solidarności” powstał projekt, aby wszyscy zatrudnieni stali się akcjonariuszami. W tym celu miały zostać wypuszczone nowe, pięćsetzłotowe odcinki. Plan nie doznał się realizacji.

Samych akcji nikt nie widział. Ci, którzy byli za granicą w krajach kapitalistycznych zauważyli, że są one notowane na światowych giełdach w Zurichu, Londynie, Paryżu czy gdzieś indziej, ale kupić ich nigdzie nie można. Notowania przedstawiają jedynie wartość informacyjną dla zachodnich biznesmenów, pragnących przed nawiązaniem handlowych kontaktów zorientować się z kim mają do czynienia.

Na właściwy ślad natrafiłem w monografii „Bank Polska Kasa Opieki! SA 1929-1979”, której autorami są Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski. Trzeba znów odwołać się do historii.

Tuż przed wojną kapitał zakładowy Banku wynosił 5 mln złotych i podzielony był na 1000 akcji po 5 tys. zł. Formalnie założycielami PKO SA były Bank Gospodarstwa Krajowego, Państwowy Bank Rolny i Pocztowa Kasa Oszczędności. Faktycznie cały kapitał stanowił Pocztowa Kasa Oszczędności.

W czasie wojny znaczna część pracowników Centrali Banku łącznie z prezesem wyemigrowała do Paryża, a następnie do Londynu, gdzie starano się w miarę normalnie pracować. PKO SA jest jedynym polskim bankiem, który nie zawiesił w całości swojej działalności.

Po wojnie pogmatwały się losy pracowników Banku. Przez pewien czas działały dwie centrale — w Londynie i w Warszawie. Sytuacja wyklarowała się dopiero wówczas, gdy odziedziczyli tyśiące akcji. Po powstaniu w warszawskim wydziale do Krakowa i zdeponowano w oddziale Banku Gospodarstwa Krajowego. Pozwoliło to Pocztowej Kasie Oszczędności zwołać Nadzwyczajne Walne Zebranie Akcjonariuszy i przejąć władzę w swoje ręce.

W roku 1969 postanowiono kolejny już raz powiększyć kapitał zakładowy do 50 mln, reprezentowany przez 5 tys. akcji po 10 000 zł. Na arenę wkroczyło Ministerstwo Finansów — działając w imieniu Skarbu Państwa — przejmując 4 865 akcji. Powszechna Kasa Oszczędności, następczyni Pocztowej Kasy Oszczędności została sobie 135 sztuk.

Kapitał podnoszono jeszcze parokrotnie, ale proporcje między Min. Finansów a PKO pozostały bez zmian. Tak więc sprawa akcji okazała się mniej romantyczna niż się to niektórym osobom wydawało.

W monografii tej znajduje się wiele ciekawostek ze sfer finansowych. Na przykład — w końcu października 1950 roku przeprowadzono w Polsce reformę walutową. Ustalono wtedy urzędową relację 1 zł = 1 rublowi = 0,25 dolara!!!

Pytam dyr. Poniatowskiego czy spokojnie śpi? Czy zdeponowane w banku skarbniki są dobrze strzeżone? Dyrektor nie ma żadnych obaw. Skarbników jest dwóch. Każdy z nich ma inny komplet kluczy, przez co są niejako skazani na siebie. Wszystkie czynności muszą wykonywać razem. Nie może zdarzyć się tak, że jeden jest bardzo zajęty i pożyczka swoje klucze drugiemu. Żaden skarbnik, nawet przy chyłku, przy spadku nie może mieć żadnych kluczy. Jeśli zdarzy się coś takiego, trzeba zmieniać zamki. Takie są przepisy.

Ściany skarbcza wykonano ze zbrojonej cegły i betonu tak, że bardziej pasuje do niego nazwa bunkier. Kasy pancerne zrobiono z mieszaniny stali i betonu. Palnik ich nie ruszy. Młot pneumatyczny prawdopodobnie też nie. Szyfr instalacji alarmowej zmieniany jest co kilka dni. Znają go tylko skarbnicy. Alarm zaczyna działać w chwili zbliżenia ręki na określona odległość.

Otwieramy kolejną kasę. Są w niej przechowywane numizmaty dla bardzo zamożnych kolekcjonerów. Ogładam wykonane ze złota pięćsetki z wizerunkiem Kościuszki i Pułaskiego. Są wielkości starych dziesięciozłotówek. Na awersie każdej monety wybito napis „próba”. Jest tutaj także kilkanaście rodzajów srebrnych setek. Są repliki starych monet, na przykład gdańskich 5 dukatów. Awers przedstawia wizerunek Zygmunta III Wazy, rewers herb Gwańska. Za cztery takie monety można kupić Fiat.

Wracamy do gabinetu dyrektora po to, aby wreszcie wyjaśnić sprawy, z którymi tu przyszedłem. Od 31 marca otwierane będą rachunki tylko wtedy, gdy pierwsza wpłata wynosi co najmniej 10 dolarów USA. Niższych bankowi nie opłaca się przyjmować. Koszt obsługi jednego rachunku wynosi rocznie od 180 do 250 złotych. Wchodzi w to koszty zatrudnienia, operacji bankowych, powiadomienia o każdej dokonanej operacji.

Jeśli dotychczas ktoś ma w banku mniej niż 10 USD, to oczywiście pieniędzy mu nie przepadną. Zostaną przeniesione na tak zwany rachunek uśpiony, co oznacza tylko tyle, że bank nie będzie wysyłał klientom wyciągu konta. Wszystkich rachunków w łódzkim oddziale jest około 170 tysięcy, z czego ponad jedna trzecia, blisko 60 tys jest poniżej 10 dolarów.

Zadani szanujący się bank nie prowadzi rachunków w 19 walutach tak jak to robi do tej pory PKO SA. Ciągłe przeliczanie kursów znacznie utrudnia pracę. Po 31 marca wszystko się zmieni. Rachunki prowadzone będą w pięciu walutach: dolarach USA, markach RFN, frankach szwajcarskich, funtach angielskich i frankach francuskich. W kasie przyjęte zostaną wszystkie waluty wymienialne, ale zaraz maszyna przeliczy je po kursie dnia na jedną z pięciu podstawowych, wybraną przez wpłacającego. Dla klienta — żadna różnica, dla banku — wygoda.

Dyrektor Poniatowski sądzi, że obroty na rachunkach „N” będą znikome. Możliwość udokumentowania walut są powiem ogromne. Na konto „A” będzie można wpłacać dewizy z przekazów pocztowych z zagranicy. Pieniądze zarobione na Zachodzie, nawet po podjęciu tam pracy na lewo, a zgłoszone przy powrocie do Polski na granicy — również będą uważane za udokumentowane.

Te krótkie informacje właściwie wyjaśniają wszystkie problemy, z którymi zjawiłem się przy Piotrkowskiej 211. Na ponowne obejrzenia skarbcza wpadłem w trakcie rozmowy. Dyrektor zgodził się bez większych ceregieli i nie żałując, że zostałem w Banku godzinę dłużej niż planowałem.

MAREK MAMOS

Nie boję się przyszłości

— mówi francuski piłkarz JEAN TIGANA

Jean Tigana we francuskim futbole jest wyjątkiem. Przeciętny przez wieki osiedlowo treningowy, kilka z nich zamieszkał przez niego swoje drzwi. W wieku 23 lat grał w II lidze, w tym samym czasie Michel Platini — jego rówieśnik w reprezentacji Francji rozegrał już 25 spotkań. Eksplozja talentu Jean Tigana nastąpiła w drugiej połowie lat 70-tych. W tym samym jednak czasie zawodnik ten przeżywał ogromne kłopoty zdrowotne. Trener Hidalgo zdawał sobie sprawę z jego wagi, jednak nie zawsze mógł powoływać go do reprezentacji. Piłkarski świat poznał go podczas hiszpańskiego Mundialu. Właśnie wówczas Tigana został gwiazdorem i nikt nie wyobrażał sobie linii pomocy reprezentacji Francji bez piłkarza Bordeaux. Mistrzostwa Europy potwierdziły jego wielki talent. Obok Michela Platiniego właśnie Tigana uważa się za piłkarza, który wniósł największy wkład we francuskie zwycięstwo.

Jean Tigana udzielił wywiadu francuskiemu tygodnikowi „L'Equipe Magazine”. Publikujemy fragmenty tego wywiadu. — W pana biografii jako miejsce urodzenia podaje się Bamako. Jednak w wywiadach nigdy nie mówi pan o Mali — kraju gdzie się pan urodził.

— Opuściłem Mali w momencie, gdy kraj ten uzyskał niepodległość. Mój ojciec zajmował się polityką. Był gaulista, nie więc dziwnego, że przenieśliśmy się do Francji. Miałem wówczas 3 lata. Zatrzymaliśmy się w Marsylii, Afryki zupełnie nie pamiętam.

— Byłem średnim uczniem. Nauczyciele mówili, że mam talent, ale nie potrafię skoncentrować się i właśnie dlatego nie wykorzystuję możliwości.

— A piłka? — Grałem na ulicach. W wieku 11 lat podpisałem pierwszy kontrakt. Na 2 lata związałem się z klubem Caillots, który w tamtych czasach prowadził bardzo dobry ośrodek treningowy dla młodzieży. Tam właśnie nauczyłem się podstaw piłkarskiej techniki.

— Początki kariery były jednak trudne... — Był to czas Ajaxu. Poszukiwano przede wszystkim graczy silnych. Ich walory mierzone głównie w kilogramach i centymetrach. Ja ważyłem wówczas 50 kg. Nic więc dziwnego, że nikt nie wrócił na mnie uwagę. W wieku 19 lat podpisałem kontrakt z Toulonem. I wówczas zaczęła się dla mnie poważna piłka. Przestałem palić, a treningi musiało traktować serio. Nie oszczędzałem jednak porozumieć się z trenerem. Już wówczas nie ukrywałem tego, co myślę także dziś jeśli chodzi o pieniądze. Własność tam spotkałem trenera Aime Jacqueta.

— I był to początek współpracy, która trwa do dzisiaj. — Tak. Najważniejsze dla mnie było to, że Jacquet starał się nie tylko o mój rozwój jako piłkarza, ale pragnął dodać mi również pewności siebie. Nie krzychał, nie wymyślał zawodnikom. Właśnie pod jego wodzą w ciągu 2 lat wykonałem gigantyczną robotę. Właśnie wówczas w wieku 23 lat po raz pierwszy zacząłem poważnie pracować nad kondycją i siłą fizyczną. Kiedy Jacquet przeniósł się do Bordeaux postanowiłem pójść jego śladem. Miałem przy tym trochę szczęścia. Klub ten zgodził się bowiem wykupić mój kontrakt z Lyonem przed jego zakończeniem.

— Bordeaux to wielki klub, niemal piłkarska fabryka... — Tak. Między piłkarzami istnieją tylko zawodowe kontrakty, nie więcej. To jeszcze potrafisz znieść, ale gdy wokół drużyny zaczyna kreć się tłum ludzi sympatycznych, gdy wygrywamy i zwyciężymy, a często nieuczciwych w momencie wygranej, człowiek taki jak ja musi się zdenerwować. Kiedy w ub. roku leżałem przez 15 dni w szpitalu po operacji, nikt do mnie nawet nie zadzwonił. Tak jest zawsze. Właśnie takie

fakty mówią więcej o współczesnym futbole, niż teksty na pierwszych stronach gazet. A ja jestem przeciętną gwiazdą, którą wszyscy przychodzą oglądać. Coż więc dzieje się w takiej sytuacji z rezerwowym?

— Co jest we współczesnym piłkarstwie najważniejsze: sława, pieniądze? — Bieżąca sława. Pieniądze nie mają tu żadnego znaczenia. Życie dyktuje takie a nie inne warunki. Zdaję sobie sprawę, że jestem uprzywilejowany. Ale to minie. Przyjąłbym sobie prawo do sławy. We współczesnym futbolu jest przed zawianiem nowych znajomości. Jestem nieufny. Bój się wciąż, że ludzie chcą się do mnie zbliżyć, ponieważ są zwanym Jean Tigana.

— Czy zetknął się pan z rasizmem na boisku? — W I lidze. Natomiast kiedy grałem w drugiej, jeden z arbitrow powiedział mi, abym poszedł się wybielić. Byłem przygniewany. Oczekiwaliśmy reakcji piłkarskich władz. Nie się jednak nie stało. Dziś zdaję, że nie oddałbym sprawy do sądu. Uważam, że takie incydenty są bardzo ważne i nie należy na nie przykrywać oczu.

— Czy problemy związane z kolorem skóry, stają się nieistotne, gdy w życiu osiągnie sukces? — Zgadzałem się całkowicie. Kiedyś z tego powodu płakałem bardzo często. Nienawidzę do niektórych ludzi nie przeszła mi do dziś. Obecnie, gdy jestem wielki i sławny.

— Uważam, że właśnie w ten sposób wymierzanie sprawiedliwości. Ludzie złośliwi zostali ukarani, a moja praca przyniosła efekty.

— Czy wrócił pan kiedyś do Mali? — Nigdy nie byłem w Afryce. Początkowo brakowało pieniędzy, a teraz nie mam czasu. Pochodzę tam jednak z ogromną ochotą. Chciałbym zobaczyć miasto, w którym się urodziłem, przyjrzeć się warunkom, w których prawdopodobnie musiałbym żyć, gdyby moi rodzice nie przenieśli się do Francji. Jesienią, jeśli znajdę trochę czasu, pojedę do Bamako. Wiem, że Mali jest jednym z najbiedniejszych krajów świata.

— Czym są dla pana pieniądze? — Mają ogromne znaczenie, przede wszystkim dają niezależność. Mam nadzieję, że cała moja rodzina, 10 siostr i braci będą z nich korzystać.

— Pomimo dużej ilości pieniędzy współczesny futbol ma też swoje problemy... — Wielkim błędem jest to, że graczy wyciska się jak cytryny, a następnie odrzuca. Jeśli zajmowano by się ich profesjonalizowaniem jeszcze gdy grają i już po zakończeniu kariery, problem byłoby o wiele mniejszy.

— Czy zamierza pan w najbliższym czasie zmienić klub? — Jestem jeszcze przez 2 lata związany z Bordeaux. Jeśli ktoś zaproponuje mi górę złota, władze klubu będą musiały podjąć decyzję. Platini zrobił bardzo wiele dla francuskiego futbolu. Dzięki niemu zaczęto nas dostrzegać za granicą. Francuski piłkarz będzie występował w liczących się europejskich klubach.

— Kiedy skończy pan grać w piłkę, ludzie zapomną o Tigana... — Nie boję się tego. Sława nie jest mi potrzebna. Być może wówczas łatwiej będzie osiągnąć władzę. A wkład w rozwój francuskiej piłki wraz z kolegami z obecnej reprezentacji i tak już wniosłem. Mam w domu kasety magnetowidowe z hiszpańskiego Mundialu. Nie oglądam ich jednak nigdy. Kiedy na zgrupowaniach trenerzy pokazyują nam te mecze, aż się boję, że w przyszłości nie zabrakną już tak dobrze. Być może sukces w Mistrzostwach Europy zatrze te wspomnienia.



pamięci Johna Lennona

czytałem dzisiaj wiadomość w gazecie o szczęśliwym człowieku który doszedł do czegoś i myślę że wiadomość była raczej smutna

padł strzał i sawirował świat ptaki sfrunęły z dachów a na okładkach kolorowych pism już tłoczą jego twarz

o gitarę ktoś oparł się i gitara się zlamala

slyszę jak morze ludzi zbiera się by razem w wielkim tłumie przejść przed oknami tych którzy nie czują się winni

ktos włączył magnetofon i taśma się zerwała

padł strzał i zatrząsał skrzydłami czas drzewa z wysiłku zatrzeszczały a wielu na tym zbije szmal i wielu na tym dom zbuduje tak jak już było nieraz

od kiedy pomarańcze dzieli się bagnetami od kiedy jabłka z drzew tracą się z rewolwera

ktos płyty kupił dwie a potem je przelamał

padł strzał i kółka lodzie się rozkoczyły mówicie śal mówicie pech mówicie nie poza tym a tutaj trzeba płakać tak jakby ojciec nam umarł

a tutaj trzeba krzyknąć tak jakby nas samych sabiiali

I read the news today oh boy about a lucky man who made the grade...

the beatles dream

przyjechałem tutaj taksówką wyciętą z kolorowego tygodnika z głową w chmurach szukałem w sobie zapachu cytryn i jabłek szukałem dziewczyny o kaleidoskopowych oczach z sercem jak mandarynka jak odlatująca w dal fregata leżąc wśród celofanowych łab patrzyłem na zielone ptaki i fioletowobiałe muchy tańczące na błękitnym parkiecie nieba i czasem mi się zdawało że jestem w łodzi o burty lekko uderza sen gwiazdzisty deszcz jak motyl cicho śląda na włosach i kwiaty większe od drzew wychylają się nad brzegi samotnej wyspy na oceanie lemoniady czeka tam dziewczyna o perkalowych dłoniach i truskawkowym uśmiechu — dopóki nikt nie krzyknie ratunku dopóki nikt nie krzyknie uważaj

jimi hendrix

faldy ciała układają się w krzyk pomiędzy błyskiem oczu a drżeniem dłoni żyłki bólu wrastają w dźwięki roztrzaskiwane o ścianę twarzy wraz z agonią blasku linie papilarne czasu wtapiają się w kaskady rytmu czasem jak gązle przemkna refleksy światła i ktoś zaśmieje się głosem hieny faldy ciała układają się w krzyk żyły podobne do gałęzi baobabu wychodzą na szyi tego świata tak wstydliwie chowającego swoje gniewne dzieci pomiędzy szarpnięciami strzykawki snu o struny śniereci a nachylsnością się ciszy

Jako miłośnik teatru, który niekiedy publicznie dzielił się z innymi swoimi wrażeniami, mogę przyznać się bez wielkiego wstydu, że z nazwiskiem Györgya Schwajda nigdy dotąd nie zetknąłem, mimo iż — jak się okazuje — grano już niektóre jego utwory na kilku scenach polskich. Jak widać, ani recenzenci, ani publiczność nie zapewnili im większego rozgłosu, a przecież nieraz pan-tolowa pocza potrafi daleko i szeroko ponieść wieść o wydarzeniach artystycznych oficjalnie przemilczanych.

Ciekawe, że i w odczytaniu autora, jak pisze w teatralnym programie tłumacz szukił anki debiutancki sprzed kilku nastu lat „Blazen”, ani następnego utworu, nie wylaczając wy-stawianego obecnie w Łodzi „Cudu” nie zainteresowały węgierskiej publiczności. Może więc chodzi o twórczość tak odkrywcza myślowo i nowatorską formalnie, jak naszego Norwida, która doczeka się dopiero uznania „późnego wru-ka”? A może jest zbyt trywialna i płaska, by zadowolić gusta wyrobionej widowni? Musi więc być „coś na rzeczy”, skoro tłumacz tak się tłumaczy i dokonanego przekładu.

Jest to utwór oparty na nie-banalnym pomysle, obracającym się wyraźnie w regionach „czarnego humoru”, z którym zresztą jesteśmy oswojeni nie od dziś, a jednak było mi chwila-mi trochę nieswojo. Rzecz chyba w tym, że całą tę histo-rię o człowieku oślepłym, któremu biurokracja bez-duszność, uwarunkowana, jak sugeruje autor, stosunkami spo-łecznymi, nie pozostawia żad-nej innej szansy vegetacji, tyl-ko przez udawanie — wobec siebie samego i wobec innych — że się jest „cudownie” ule-czonym, bo tak wynikałoby z „papierów”, otóż rzecz w tym, że może to sobie świetnie wy-obrać, ale jako humoraszkę (makabreskę) drukowaną w pi-smie satyrycznym. W takiej bo-wiem konwencji literackiej bo-haterowie są tylko jakby „no-sicielami” określonych postaw i wyraziłami najbardziej na-wet absurdalnych tez, jedynie ilustrującymi sobą ścieranie się różnych racji.

Tutaj jednak, przez „rozpla-nie” tej hipotetycznej humo-reski na role sceniczne, pro-wadzenie sytuacji ad absurdum odbywać się musi niejako na żywym ciele bohaterów o pek-niel zarysowanej osobowości. Stąd też chyba ryzyko, że sa-tyryczny zamysł rozmyje się — mimo powagi samego konfliktu — w tragifarsę, bo nie w komedie przecież, która, jeśli nawet jest najbardziej gorzka i zjadliwa, musi mieć jednak odniesienia do psychologicznych i sytuacyjnych realiów. Wydaje mi się, że absurdalność ludz-kiego losu, cała miseria kon-dycji życiowej człowieka skrzy-wdzonego i bezsilnego powin-ny wynikać z pewnej prawdłi-wości czy nieuchronności zła-rzeń, jeśli rzecz ma mieć wy-mowę głębszą. Tymczasem za-miast groteskowej hiperboli mamy nieprawdopodobieństwo psychologiczne ludzkich reakcji na kanwie nieprawdopodobień-stwa sytuacyjnego. Metafora

Tragifarsa o ślepcu

wiednie wiec i usycha w o-czach, stąd co najwyżej farsa A bądź co bądź — o ślepcu.

Chyba że szukalibyśmy „pod-kiadki” w realiach węgierskich z tak odległego już czasu, kie-dy sztuka Schwajdy po orostu nie mogłaby... ujrzyć światła dziennego. A nie miał to być przecież, jak mniemam, obra-chronek historyczny, lecz utwór współczesny. Toteż nie zwalał-bym tak bardzo winy za niepo-wodzenia autora na — jak pi-

sze tłumacz — mieszczańskie upodobania węgierskiej publi-czności, która rzekomo „nie lu-bi postaci, którym się nijkak widzieje w tym życiu, a które nawet śmia wątpić, że to ży-cie jest coś warte”. Szyj w naszej telewizji sztuki węgier-skie świeżej daty, które bynaj-mniej nie kołyszają do snu ani publiczności, ani reprezentan-tów kół oficjalnych, a jednak cieszyły się u siebie zaintereso-waniem...



György Schwajda — „Cud”. Na zdjęciu Bogusław Semotiuk i Krystyna Tolewska

Foto: Andrzej Brustman

Wydaje mi się, że realizato-ry i aktorzy wydobyli z tek-stu sztuki, co się dało — zarow-no komizm sytuacyjny i słow-ny, jak i momenty liryczne oraz akcenty dramatyczne po-szczególnych scen. W roli ośle-płego Venela BOGUSŁAW SE-MOTIUUK z wyrazem ufnę na-tywności prowadził swoją coraz bardziej bezmadzierną mistyfi-kację aż do tragicznego finału. Jako jego żona, Veronika, KRY-STYNA TOLEWSKA wiele u-miętnie godziła stan perman-entnego życiowego zagubienia z czułą kobiecą wrażliwością, słowem, oboje z najlepszym re-zultatem demonstrowali uciecz-kę w życiowe ogłupienie jako sposób przystosowania się do nierozumiałych praw rzeczywisto-sci. Z duża wewnętrzną ira-wdą zagrał postać pełnego do-brej woli, lecz idącego na kom-promis z „wyższą racją” dzia-łacza związkowego Schustra LUDWIK BENOIT, z roli sta-rzejacej się spragnionej uczu-cia Biborki przejmujące akcen-ty wydobyla MARIA BIALO-BRZESKA. Bardziej monokly-tyczna w swej bezwzględności postać przebiegłego Brygadzi-sty stworzył BOGUSŁAW MACH. Bezwolna mimo odru-szów buntu ofiarą kolektywu Żezę zagrał MAREK LIPSKI. Wszyscy zresztą w mniejszym czy większym stopniu grają przed sobą i innymi komedie, by wzbudzić w sobie przekon-a-nie do narzuconych z zewnątrz reguł lub stworzyć taki pozor. Udane też były bardziej jedno-znaczne role epizodyczne — Eg-zaminatora w wykonaniu MAR-KA JASIŃSKIEGO Kelnera — BOHDAN MIKUC i wreszcie Gizi, wyposażonej przez naturę w nieodparte wdzięki, mobilizu-jące załogę do produkcyjnej aktywności, czemu można było dać wiarę dzięki ELWIRZE RO-MANCUK. W rolach Zecerów wystąpili KRZYSZTOF KACZ-MAREK, ADAM GWARA i JACEK GUDEJKO.

Wnosząc z reakcji widowni sztuka znajdzie zapewne „lepsze u nas niż u braci Węgrów przy-jęcie wśród publiczności, nad wyraz spragnionej śmiechu, który towarzyszył nawet sce-nom o mniej zabawnej wymo-wie, jak rozmowie małżonków „w pościeli” (dobrze pomysła-nej) na zakończenie I aktu, czy też flirtowi Venela z Biborką przy kawiarnianym stoliku. Ostatni-mi laty, tym co u nas wielu lud-zi w sztuce interesuje nie są akurat sprawy artystyczne.

Wymagania widza mogą być w różnych krajach uwarunko-wane odmiennie i nie wszędzie jest mu do śmiechu z tych sa-mych powodów, a też mieszc-zanstwo nie wszędzie jednako-wo się manifestuje...

JERZY KWIECIŃSKI

György Schwajda: „Cud”. Sztuka w dwóch aktach w prze-kładzie Mieczysława Dobrowol-nego. Reżyseria — Marek Wa-laszek, scenografia — Maciej Kubiński. Premiera w Teatrze Nowym (Mała Sala) 2 marca 1985 r.

wcześniej ktoś napisał w okolicznościowym biuletynie, że „Niech przez trzy dni piosenka będzie Waszym chlebem”. Zaczęto więc z „grubej rury”.

Należałoby jeszcze zaznaczyć, że organizato-ry imprezy wykorzystywali cały swój czas wolny na przygotowania; mało tego, na kilka dni przed „Łództockiem” zrezygnowali nawet z higienicznego trybu życia nie spijając po no-

Doniesienie

cach. Jeździli po wszelkich festiwalach w Poi-sce i „wyłapywali” najciekawszych ich zdaniem wykonawców. Wybierali podobno takich, któ-rzy prezentują najwyższy poziom artystyczny, chociaż nikt ich nigdy nie oglądał w telewizo-rze ani nie słyszał w radiu. Nie przeszło im nawet przez myśl, żeby zaprosić Rodowicz Ma-rylę albo Rybińskiego Andrzeja. Z uporem za-praszają już po raz kolejny jakichś Grotow-skich, Zwoźniaków, Waligórskich i Zembatych. Któż to o nich słyszał?

Na samym początku inauguracyjnego koncer-tu zbulwersował mnie człowiek, który ze śmie-chem mówił o „zmianach, które u nas zachodzą... w głowę”. Następnie tenże sam człowiek nagrywał się z konsultacji społecznych doty-czących podwyżek cen.

„Komu dołożyć? Dołożyć górnikom — zabrać hutnikom. Dołożyć rolnikom — zabrać emery-tom”.

Co powiedział dalej nie śmiem nawet cyto-wać...

W końcu nie mam nic przeciwko powiedze-niu, że „obserwujemy w tej chwili w kraju planowe równanie na górę cen i płac”; ale żeby Polskę określać jako „kraj mleczem i Miodowiczem płynący” — to już lekka przesada i całkowity brak taktu.

Nie zdążyłem, niestety, zanotować słów pio-senek, które śpiewali wykonawcy (podobno o-cenzurowane) niemniej jednak z całą odpowie-dzialnością informuję, że piosenki miały w treści akcenty polityczne. Coż tu dużo mówić, śpiewano piosenkę polityczną. Czasami wyko-nawcy sprytnie próbowali zmieniać realia histo-ryczne, śpiewali o złych królach i mrokach średniowiecza — ale nawet głupi mógłby się domyślić, co mieli na myśli.

Jeden z wykonawców był tak bezczelny i poinformował publiczność, że jedna z jego pio-senek powstała w „epoce schyłkowego Gierka”.

Takim oto „chlebem” żyli przez trzy wieczo-ry studenci. Owszem czasami ktoś zaśpiewał jakąś piosenkę turystyczną, jakąś piosenkę po-etycką; czy niewinną; kabaretową o „strusich piórach w d... i, ale był to zapewne kamuflaż charakteru całej imprezy.

Chociażby wierszyk o Murzynku Bambo. Poe-tycki, uroczy i dydaktyczny; ale musiała być złośliwa pointa „Lecz mama kocha swojego synka... bo dobry z tego chłopaka murzyn...”.

Temu wszystkiemu, przez dwa kolejne wie-czory, siedząc na twardej i niewygodnej ławce przysłuchiwał się prorektor od bardzo ważnych spraw wychowawczych i dydaktycznych.

Bardzo dziwny wydaje się fakt, że nie bul-wersowała go demoralizacja studentów; mało tego; słuchał do późna w nocy nawet bij bravo i śmiał się ze wszystkimi.

Prawdę mówiąc postawa pana rektora od razu wydawała mi się bardzo podejrzana, kiedy o-twierając „Łództock 85”, życzył organizatorom dalszych trzydziestu trzech o równie doboro-wej obsadzie.

Doborowa obsada, też mi coś: Długosz Le-szek, Adamiak Elżbieta, Krzysztoł Antonina, Grechuta Marek, Poniedziałki Andrzej — to tylko kilka nazwisk z tej „dobroowej” obsady.

Trudno jest mi już w tej chwili mówić o skutkach tej arcyшкоdliwej imprezy, jedno jest pewne, że studenci którzy wysiuchali występu-jących na Złocie Weteranów wykonawców — będą chcieli ich jeszcze raz wysłuchać. A oni, niestety, przyjadą; bo tak jest po każdym „Łództocku”.

Działacze Rady Osiedla przyznają bezczelnie, że organizując pierwszy Złot myśleli o tym, żeby impreza stała się największą i najpoważ-niejszą tego typu w Polsce. Przez trzy lata z wyrafinowaniem dążyli do osiągnięcia swojego zamiaru. Niestety, z powodzeniem.

Komu przeszkadzało, żeby w Łodzi, spokoj-nym skądinąd od pewnego czasu mieście, pio-senka studencka nie była w ogóle znana.

Kiedys Lumumbowo było sobie spokojną, ni-komu nie wadzącą wioską kulturalną. A teraz, z całej Polski się zjeżdżają!

JACEK BINKOWSKI

Niewiele znam poetów; wśród tych, których znam (mam tu na myśli znajomość osobistą — z wymianą uprzejmości, wizytówką, listów, wyrazów uszanowania, całującą dla kochanych małżonek, albo brudersztafów zgola) — więc wśród tych, których znam, różni są poeci. Wspaniali i przeciętni, rzemieślnicy i artyści, lingwiści, turpiści, ludyści, filozofowie, prostaczkowie, alkoholicy i grafolami. Każdy z nich, zapytany o to, co zrobił w życiu, czy co zrobił dla ludzi od ręki wyliczy — na metry nieomal — swoje wydrukowane tu i ówdzie wiersze i tomiki. Jeden tylko z tych, których znam odpowie: Przyjacielu najdroższy —

„Przynosiłem im słów chlebne ziarna,
Prostym ludziom życzliwy brat”.

Ten poeta to Władek Strzelecki. I niech mi siedemdziesięcioletni weteran, kawaler Sztaudyngera Pracy, wybitny działacz społeczny i animator kultury wybaczę tę poufałość. Dla mnie on jest Władkiem po prostu, Władkiem — poetą.

„Jeśli ci kiedy ból uczynił
Rzucam słów jak główne ognia,
Powiedz, czy jest-że moją winą,
Ze głowę mam płonącą co dnia?
Jeśli z mych słów, co w bólu krzepszy
Krzyk buntu płacze ścieżki twoje —
Rozdaj ogniskom przywróć ciepło.
Ten krzyk zostanie prawem moim. (...)
Mnie, który nie chcę nic prócz wiosny,
Roboty wciąż mam pełne ręce,
Sił przysporz i nim syn mój wzrośnie,
Na pracę czasu daj mi więcej”.

TOMASZ SAS

Drogą prostą jak wiersz

Skarga to? Wyznanie wiary? Program? W jaki czas napisany?

Na pytanie ostatnie odpowiedział łatwiej — to fragmenty wiersza „Przedwiośnie” z 1946 roku. A był wtedy czas wyboru — w nowej Polsce pierwszy, ale nie jedyny. Czy Władek wtedy wybrał?

Nie ulega wątpliwości, że tak. Wybrał to, czego od dawna był świadom — jeszcze za czasów łączycielskiego seminarium nauczycielskiego, kiedy w 1938 roku tuż przed startem w zawodową i społeczną dorosłość mówił kolegom — „Twardych, upartych podziem przyspieszmy wskazówki — Niech znaczą ludzką wolę na słonecznej tarczy”. On, dwudziestolatek, poszedł, nie oglądając się, ale ze świadomością, że nie jest sam, choć nie zawsze czuł za plecami zdyszane oddechy przyjaciół. Bo Władek nie dawał się przegonić, chociaż droga była tylko pylistą ścieżką między polami, którą szło się boso, z butami przez ramię na związanych sznurkach.

Dziesięć lat później, tuż po wojnie, ten wicelator z dotychczas bezrobotny nauczyciel, mógł już zatrzymać się gdzieś wśród wiejskich chałup, uczyć polskiego dzieci swych kujawskich czy podlęczyckich współplemieńców. I mógł odświętnie pisać wiersze w młodopolskiej manierze, liryczne i refleksyjne, rozbiegające stany chłopkiego ducha w świecie obalającym tradycyjne wartości.

Władek jednak inaczej — on wtedy właśnie oczyma duszy zobaczył swoją drogę jako trakt szeroki i twardy, ubity milionami nóg, setkami maszyn, uzbrojony betonem, prosty i wiodący ku słońcu. Nie zauważył, a może nie chciał dostrzec, że w rzeczywistości była to nadal pylista ścieżka między polami, może nawet bardziej zrujnowana niż przed laty i wyboista jak cholera. Do tego Władek dokonał jeszcze pewnego zabiegu na nas samych, przedwczesnego zabiegu oczyszczenia, wyrzucając na zewnątrz wszelkie konflikty, wątpliwości i słabości z naszych autonomicznych jaźni.

W tej nowej poetyce staliśmy się ludźmi z plakatów, a sam poeta — działaczem społecznym, „Ład tworzącym”. Ale ten ład też szedł z transparentów, a wiersze? Wiersze poszły w służbę propagandzie...

Nie jestem krytykiem i nie muszę ich mierzyć, ważyć i analizować wers po wersie, nie muszę „przez szkielek i oko”, ani przez filtr konwencji, mód i literackich zobowiązań koterijno-towarzystwowych. No i dobrze. Ja wierszy słucham — brzmią jakoś czy nie...

Wierszy Władka Strzeleckiego słucha się dzisiaj różnie. Młody, drapieżny, szczerzy i witalny liryk z lat trzydziestych dzwoniący i dzisiaj nutą swojską, pełną kalkiem współczesnych wirów i wątpliwości. Jak w wierszu „Niepewność” z 1939 roku:

„W tę?
Nie warto!
Tyle głązów,
Ciernie,
Tamteży?
Stromo.
W bok może?
Najłatwiej,
I tak bez oporu?
Tu — w miejscu.
Stać znów?
Z powrotem.
Szaleństwo.
Chybaże się człowiek, chybaże,
Jak gałąź na drzewie uschnięta... (...)”

Ale agitator zwyciężył — nie tylko pod przemożnym ciśnieniem rzeczywistości lat wojennych. To Władek Strzelecki był tak ukształtowany — w rodzinnym domu, w szkole i w działalności społecznej. Jego wiersze zaczęły brzmieć jak doraźne plakaty polityczne. I dziś przede wszystkim tak się wiele z nich odbiera.

Kiedyś pisząc o nim, użyłem zacierpniętego z Tuwima porównania do tego młodego murarza, budującego stupałkowy dom — zaperzonego i młodzieńczo zdeterminowanego, że jak będzie trzeba, to on i jemu podobni pociągną budowę wyżej, ponad chmury — dokąd sięgną marzenia. Tak, Władek Strzelecki jest właśnie taki do dziś; zdania nie zmieniam ani na jotę.

On jest, ale czy jego wiersze, ta agitacyjna i komentująca rzeczywistość, zachowały do dziś swe walory? Odpowiedz na to pytanie jest nieźmiernie trudna. Nie można bowiem twórczości Strzeleckiego potraktować jakby była zabytkiem historii literatury. Władek był socrealistą na długo przedtem, zanim oficjalnie zadekretowano ten kanon, i pozostał nim długo potem, jak od obowiązkowych reguł odwrócił się — z gwiałem i złorzeczeniami — inni poeci, czasem zaiste doskonali.

Strzelecki po prostu szedł swą własną drogą. To los i pozaliterackie zdarzenia sprawiły, że przez czas jakiś na jego drodze, zamienionej nagle w autostradę — jedynie słuszną i oficjalną — pojawili się goście, fellowtravellersi, rozmaici krytycy i, jak to zgrabnie nazywają Rosjanie, okolo-literaturnyjsze szeszczyny (mniejsza o pieć). Zdmuchnął ich wiatr historii, Władek nów został sam. Co gorza — drogą obłożoną anatamą, obstawioną smatkami sakazki wjadła i

żarliwość, bezkompromisowość i talenty organizacyjne. To przyjaźń między narodami, między narodami Polski i Związku Radzieckiego nade wszystko. Władek przez 35 lat — do przejścia na emeryturę w ubiegłym roku — sekretarował zarządem wojewódzkim TPPR w Łodzi i w Skierniewicach. Nigdy jednak nie był urzędnikiem, ani działaczem ze szczebla, czy wcale częstym w tej branży „administratorem przyjaźni”. Nigdy nie pisywał sprawozdań za biurka...

Władek po prostu wędrował — razem z wymyśloną i zorganizowaną przez siebie przed trzydziestoma laty Estradą Przyjaźni — niezwykłą instytucją artystyczną, tak niezwykłą i niepowtarzalną, że nikomu w Polsce nie udało się nawet częściowo powtórzyć jej sukcesu — około 2500 koncertów w miasteczkach i wsiach Ziemi Łódzkiej.

Idea jest prosta — składanka — z dawna znana formuła estradowa, opracowana na rocznicę czy inną okazję — poezja, pieśń, muzyka. Ale w środku tego wszystkiego tkwił Władek Strzelecki ze swymi pomysłami i pasją, ze swą rzadką umiejętnością sprawnego organizatora, z darem zarażania ludzi swym entuzjazmem, ze swą bezkompromisowością i żarliwym ukochaniem poezji. To dzięki oddziaływaniu jego osobowości wokół Estrady Przyjaźni skupiali się przez lata znakomici wykonawcy — muzycy Łódzkiej Filharmonii, aktorzy łódzkich teatrów, soliści opery, piosenkarze, artyści i twórcy. Z Estradą Przyjaźni jeździli działacze polityczni, pisarze i dziennikarze. Jedni odchodzili, przychodzili nowi, zmieniał się program.

Tylko Władek był taki sam — układał scenariusze, tłumaczył nowe wiersze radzieckich poetów, prowadził koncerty, wymyślał konkursy, gawędził ze słuchaczami, recytował utwory poetów sławiące przyjaźń, pracę i pokój między narodami, na i doskonalił repertuar Estrady Przyjaźni.

Ta prosta formuła wypełniona była zawsze „towarem” najwyższej miary — operową klasyką rosyjską Czajkowskiego, Glinki, Borodina, Rimskiego-Korsakowa, Musorgskiego, pieśniami Dunajewskiego i Solowiowa-Siedoja, wierszami poetów rosyjskich i radzieckich. A obok dzieła twórców polskich — kompozytorów i poetów. Nadto poezja ze Smoleńska i Iwanowa — okręgów współpracujących z Łodzią i Ziemią Łódzką.

A jakże łatwo, beztrudno i kpiące można było to wszystko skwitować okrutnym epitetem — chałtura... Zdarzały się i takie próby. Ciekawych programu, przyjęcia go przez publiczność, stosunku odbiorców do treści Władek po prostu zabierał ze sobą lub kładł im przed oczy stopy podziękowań, listów i ponownych zaproszeń. Niektórzy wątpiący po „nawróceniu” ogłaszali swe refleksje drukiem. Sam zapytałem o Estradę Przyjaźni kilku z długiej listy występujących w jej koncertach artystów — mieli wątpliwości i krytyczne uwagi. Rozmawialiśmy szczerze, ale nie padło ani jedno słowo, mogące pomniejszyć wartość tej pracy i jej rezultatów czy podważyć intencje organizatorów. Zapytani wprost, twierdzili, że nie powazyliby się tak nawet myśleć — na ogół z dwu powodów: pierwszy to publiczność, nawet w epoce radia i telewizji i „Wesołego Autobusu” znakniona klasyki, słowa i pieśni głoszonej bezpośrednio, twarzą w twarz, przez żywego człowieka. Drugi powód to sam Władek Strzelecki — porażający swą aktywnością, afirmacją ludzi i otwartością, fascynujący jak zaklinacz węży, nawet budzący niechęć swym uporem i cierpliwym drażnieniem opornych, a mimo wszystko przyciągający...

„Żyję wszechmocnym działaniem,
Światło niosącą poezją,
Takim trwać będę wiekami
W świecie budowy i pieśni”.

Jest jeszcze jedna dziedzina aktywności Władka, o której godzi się wspomnieć, albowiem ma ona ogromne znaczenie dla wzajemnego upowszechniania dorobku twórców polskich i radzieckich. Władek jest bowiem organizatorem działalności translatorskiej i wydawniczej. Dzięki jego inicjatywom przetłumaczono na polski setki wierszy poetów radzieckich, zwłaszcza Smoleńszczyzny i Iwanowa, wydano dwa tomiki — antologię i kilka utworów prozą. Co najmniej tyle samo wierszy i prozy przede wszystkim łódzkich pisarzy przetłumaczono i opublikowano w Związku Radzieckim, w czasopiśmie literackim i prasie codziennej. Strzelecki sam sporo tłumaczy z rosyjskiego, a także greckiego, ale przede wszystkim organizuje rozmaite przedsięwzięcia wydawnicze...

★ ★ ★

Władek Strzelecki jest wierny swej drodze prostej jak wiersz. Jak jego wiersz...

„Zdań nie pokruszysz w zgłoski ni słowa,
Gdy chcesz z nich prądów wyłupać.
Bij konkretami! Działaniem prowadź
W jasne gościńce — chałupy”.

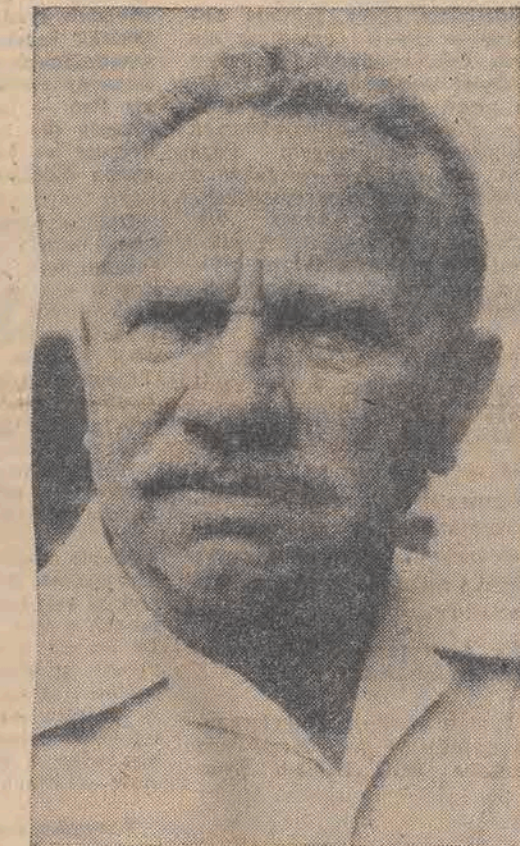


Foto: Małgorzata Strzelecka

wreszcie na ślepo zamknięto. Mój przyjaciel jakoś przejął przez barierę i znów mozolnie brnie swą pylistą ścieżką.

Zadziwiający jest fakt, jak wielu ludzi obserwuje tę wędrowkę z zaciekawieniem i admirationą. Widocznie jest potrzebna. Nikt jednak za Władkiem na jego drodze nie wkracza — to signum temporis, świadectwo i trudu poety, i jego wyjątkowości w naszej współczesności.

A wiersze — cóż, brzmią zgrzytliwie, bo świat okazał się bardziej skomplikowany. I gdzie jest dziś ten, który wyznawał przed czterdziestoma laty:

„Chcę zawładnąć zakresem i siłą mych
przeżyć,
Chcę rozłupać mych tęsknot napecznia
ziarna,
Z dni czarnych wyprowadzić biel daleką
świata
I ścieżki pontewierki w gościniec wyprościć.
Chcę od ludzi do ludzi pobudować mosty.
Niech po tych mostach ludzkie ku sobie się
garną.
Niech w czas krzyczący zemsty chcą
zbratanie czytać —
Czytać — pojąć — w człowieka na nowo
woterzyć”.

Czy człowiek, który to sobie obiecywał skupił wszystkie swoje marzenia w poezji? Czy wypełnił swoje życie poezją, samą poezją? Wszak wiele w jej skarbnicy zgromadził. A może nawet nie miał takiego zamiaru? Przeważał temperament działacza. Władek pełnił wiele funkcji politycznych i społecznych w różnych obszarach naszego życia publicznego. Jest jedna dziedzina szczególna, której Władek Strzelecki oddał niemal bez reszty swą pasję działania,

Z półki recenzenta

14 ŁÓDZKICH MIESIĘCY

Chodzi o czas od kwietnia 1930 r. do września 1931 r. To zestawienie dat określa tematykę tej książki. Ale jest to nie tylko rejestr straconych zdarzeń, ale i próba studium socjologicznego okresu nazywanego „kolejną polską odnową”. Autorzy śledzili bieg historii w łódzkich zakładach pracy i na uczelniach, w MPK i na ulicach. Czy zatem książka jest wyczerpującym źródłem wiedzy o tamtych gorących miesiącach? Oczywiście, że nie. Jest natomiast swobodnym zapisem zaprzepaszczenia szans narodowego porozumienia.

Stefania Dziecielska-Machnikowska, Grzegorz Matuskak: Czternaście łódzkich miesięcy. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 204. Cena 130 zł

MARMUROWY FAUN

Atmosfera grozy, niesamowitości, naskakujących zdarzeń i tajemniczości, wrzenie miłości i zbrodni, a do tego w Ryminie, w scenarii dzieł sztuki starożytnej — wszystko to czyni z tej dobrze napisanej książki lekturę najsmakującą i wartą polecenia naszym Czytelnikom.

Tym, którzy lubią nie do końca rozwiązane zagadki, których fascynuje niedostępna egzotyka nieprawdopodobnych zdarzeń, „Marmurowy faun” dostarczy przeżył naskakujących i pełnych emocji.

Przekład Marii Kamińskiej.

Nathaniel Hawthorne: Marmurowy faun. Wyd. Lit. 1984. Str. 410. Cena 260 zł

DZIENNIKI CZASU OKUPACJI

Franciszka Reizer, nauczycielka ze wsi Albigowa położonej niedaleko Łańcuta, prowadziła swój dziennik od 1939 r. do 1944 r. notując wydarzenia, jakie niosły ze sobą owe dramatyczne i ponure dni naznaczone swastyką. Notatki prowadzone przez F. Reizer są kronikarsko suche, tylko czasami pojawiają się dialogi, natomiast zawierają materiał faktograficzny będący doskonałą ilustracją „czasu pogardy”.

Franciszka Reizer: Dzienniki 1939—1944. LSW 1984. Str. 108. Cena 100 zł

SPALONA ZIEMIA

Książka, o której poniżej, zasługuje na szczególną uwagę: jest to rzecz o Ukraińcach, owych słynnych „rezunach”, którzy tak okrutnie i bestialsko rozprawiali się z ludnością polską w czasie ostatniej wojny. Władysław Jarnicki pisząc swoją „Spaloną ziemię” gruntownie przestudiował stosunki polsko-ukraińskie chcąc dojść przyczyn, które dwa sąsiadujące ze sobą narody tak mocno skłóciły wywołując tyle nienawiści i pochłaniając tyle ofiar.

Władysław Jarnicki: Spalona ziemia. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 382. Cena 150 zł.

SZUM JODŁY W MIEŚCIE

Pojawiła się w księgarniach nowa powieść Tadeusza Papiera nosząca tytuł „Szum jodły w mieście”. Jak zawsze u tego autora tak i tym razem rzecz dotyczy wsi. Jest to powrót do kraju lat dziecińczych, do własnej młodości, do umiłowanej Kielecczyny, do najbliższych, których groby odwiedza się na wiejskich cmentarzach. A wszystkim owiane ciężem życiowej melancholii i zadumą nad nietrwałością ludzkiej kondycji.

Tadeusz Papler: Szum jodły w mieście. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 154. Cena 70 zł.

RZECZ O SZTAUDYNGERZE

Jan Sztudynger zrodził się z Łodzi. Jeszcze za swego życia stał się klasykiem specyficzniego dowcipu, a niektóre jego frazki weszły do naszego życia na prawach przysłów i porzekadeł. Wojciech Natanson pokusił się o szkic biograficzny autora „Piórek”. Zawiera on lata młodzieńcze Sztudyngera i opowiada o pierwszych udanych próbach startu literackiego. Jest tu także wiele miejsca poświęconego późniejszej twórczości Sztudyngera. W sumie: książka ciekawa i zajmująca, godna polecenia naszym Czytelnikom.

Wojciech Natanson: Uśmiech i poezja Jana Sztudyngera. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 178. Cena 130 zł

TADEUSZ STRUGAŁA — należy do czołówek polskich dyrygentów o europejskiej pozycji. Po ukończeniu liceum muzycznego w Katowicach studiował w latach 1952-53 dyrygenturę pod kierunkiem Adama Kopycińskiego w PWSM we Wrocławiu. Przez okres dwudziestu lat był w tejże uczelni pedagogiem. Dyrygenturę doskonalił także u Arvida Jaurega (Weimar) i Franco Ferrary (Wenecja). Posiada umiejętność gry na oboju i fortepianie.

Tadeusz Strugała od wielu już lat stoi na czele dwu wielkich międzynarodowych festiwali muzycznych organizowanych w Polsce, a znanych w świecie. Pierwszy z nich to Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Wratislavia Cantans” drugi — Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju.

W swojej dotychczasowej karierze dyrygenckiej stał na czele m.in. Filharmonii Wrocławskiej i Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach. Za granicą pełnił funkcje generalnego dyrektora Orkiestry Prezydenckiej w Ankarze.

Tadeusz Strugała dyrygował gościnnie w ważniejszych centrach muzycznych prawie wszystkich krajów Europy Zachodniej po USA włącznie, na wschód po Japonię, na północ po Australię i na północ do miasto Oulu w Finlandii (kolo podbiegunowe). Najbliższe występy gościnne za pulpitem dyrygenckim to Turcja, Hiszpania i nagrania w Berlinie (NRD). Dodajmy jeszcze, że w tej chwili T. Strugała jest dyrektorem artystycznym Filharmonii im. K. Szymanowskiego w Krakowie oraz zastępcą dyrektora artystycznego Filharmonii Narodowej w Warszawie. Wspomnijmy wreszcie, że nazwisko artysty można znaleźć na ołtach wielu renomowanych firm.

Z Międzynarodowym Festiwalem Chopinowskim w Dusznikach Zdroju jest Pan związany od blisko dziesięciu lat. Długi to okres czasu, jak na nasze tradycje kierowania instytucjami muzycznymi. Co panna tak silnie związało z tym festiwalem?

Mysle, że wypadła wrócić nieco do przeszłości. Moje kierownictwo artystyczne festiwali w Dusznikach jest poniekąd sprawa przypadku. Otóż przed dziesięcioma laty, zaproponowano mi objęcie tej funkcji i prowadzenie ówczesnego, trzydziestego festiwalu. Przyjmując te propozycje, planowałem prowadzenie tylko tego jednego festiwalu. Ponieważ festiwal się udał, więc... poiknalem ten haczyk — wiazac sie z ta impreza do dnia dzisiejszego. Skoro tak sie miało stać, to w pewnym momencie należało także przyjąć założenia programowo-artystyczne festiwalu.

Wypada powiedzieć, że sytuacje miałem nieco ułatwiona w tym znaczeniu, że poprzednie festiwale nie były najlepsze zarówno od strony artystycznej jak i organizacyjnej — taka jest przynajmniej moja opinia. Nie chce przez to powiedzieć, że neguję dobre chęci ówczesnych patronów tego festiwalu (nie pamiętam nawet kto nim był). Tym niemniej moje zadania były przez ten fakt ułatwione. Miałem dlatego łatwiejszy start, że mogłem planować coś lepszego. Zawsze starałem się maksymalnie angażować w to co robie, choć wiem, że wyniki pracy zależą także od ludzi z którymi współpracuję. Tu miałem duże szczęście. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności polegał na tym że (chyba tylko rok wcześniej) naczelnikiem miasta został Bronisław Oleszek, który pełnił jednocześnie funkcje przewodniczącego komitetu organizacyjnego Człowiek to nadzwyczaj rzeczowy, wspaniały w swych poczynaniach, konsekwentny w realizowaniu podjętych inicjatyw ofiarny dla spraw społecznie ważnych. Znaleźliśmy więc w sobie partnerów dla robienia rzeczy, które są dla nas nie tylko ośmieszające.

...i dobrze służy polskiej kulturze muzycznej i nie tylko

Może powie pan nieco o istotnych założeniach artystycznego festiwalu.

Najważniejszym dla festiwalu chopinowskiego jest poziom pianistyki. Przedtem w programie festiwalu była tylko i wyłącznie muzyka Chopina. Jednakże wiadomo, że nie wszyscy pianiści-chopinisci są najlepszymi pianistami — i odwrotnie. Bywają również na świecie pianiści, którzy muzykę Chopina grają sporadycznie bądź nie grają jej wcale.

Miałem zamiar, aby na festiwal chopinowski, który jest najlepszą muzyką świata (oczywiście osiągalną dla nas) i swoją gra składali hold naszemu wielkiemu rodakowi — także poprzez wykonywanie utworów innych kompozytorów. Taka możliwość stwarza jeszcze jedną płaszczyznę do obserwacji: jak muzyka Chopina prezentuje się wśród muzyki — oczywiście fortepianowej — innych kompozytorów. Wtedy dopiero widać całą doskonałość muzyki Chopina. Ponadto rozszerzenie programu muzycznego festiwalu o twórczość innych kompozytorów, stwarza możliwość angażowania doskonałych i wspaniałych pianistów, którzy cudownie grają muzykę Mozarta, Liszta, Ravela, Debussy'ego, zaś muzykę Chopina grają jedynie symbolicznie.

Jednak propozycje są tak konstruowane, że muzyki Chopina nie zagubiono.

Utwory Chopina zdecydowanie przeważają w programie festiwalu.

Co jeszcze uległo zmianie w strukturze festiwalu?

Zmiany te dotyczą uatrakcyjnienia imprezy. Zainicjowałem wprowadzenie elementów folkloru, opery, występów chórów i zespołów kameralnych. Był też teatr (Lato w Nohant), było widowisko plenerowe na wodzie (z udziałem zespołu Nowi Singers). To ostatnie przedstawienie odbywało się nocą w świetle reflektorów i sztucznych ogní. Może było to widowisko nieco fajerwerkowe, ale przyciągnęło rzesze widzów.

Poszukiwania nowych form są jednak ograniczone przez skromną ilość sztuki (niezliczonych jest) i niepewna pogość.

Niewątpliwie ważnym aspektem dla rangi festiwalu jest jego umiędzynarodowienie.

Nie chodzi tu o nazwę, lecz przede wszystkim o wykonawców. Dobry poziom wykonawstwa stał się faktem, choć możliwości w tym zakresie są ograniczone.

Mimo znanych, obiektywnych trudności, rozmach festiwalu (także w sensie poziomu artystycznego) jest widoczny w kraju i za granicą.

Właśnie — choć nie wszystkie zamierzenia udało mi się zrealizować. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby założenia programowe doskonalić w przyszłości.

Z racji ogromnej ruchliwości artystycznej ma Pan bogatą skalę porównawczą. Co więc stanowi specyfikę festiwalu chopinowskiego w Dusznikach?

Nie wszystkie festiwale muzyczne są porównywalne, choćby z uwagi właśnie na założenia programowo-artystyczne. Są jednak i takie, które porównywać można. Podobnym do naszego festiwalu jest festiwal chopinowski w Marińskich Łąkach. Podobieństwem jest wiele. Począwszy od niemal bliźniaczego charakteru imprezy — podobny jest ich profil i zakres, założenia artystyczne, scenaria (góry, niewielkie miasteczko — choć o bogatszej i ładniejszej zabudowie). Miałem okazję do wielokrotnego obserwowania tamtego festiwalu — jako dyrygent i jako gość. Porównania wypadała zdecydowanie na korzyść Dusznik.

Duszniki różnią się od wszystkich innych festiwali swoją kameralnością — tak myślę — z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to małe miasteczko, niemal zagubione wśród tych niewielkich, lecz pięknych gór. Ma więc swoją intymną atmosferę, dodającą duży urok imprezie. Po drugie, muzyka Chopina jest w zasadzie muzyką kameralną, wytworząca intymność i jednocześnie wymagająca tej oraz specyficznej

cznego nastroju. To właśnie rodzi urok całej imprezy. Nawet te małe sale też mają w tym swój udział.

W bieżącym roku festiwal Chopinowski w Dusznikach będzie święcił swój jubileusz czterdziestolecia. Piękny to jubileusz najstarszej imprezy muzycznej w Polsce Ludowej. Co specjalnego przygotowała opiekunowie Jubilat — na tę szczególną okazję?

Nie chciałbym zdradzać wszystkich planów, gdyż — jak potwierdza życie — nie zawsze w pełni dają się one zrealizować.

Może jednak...

Festiwal zostanie przedłużony o dwa dni i będzie trwał

Rzeczy dzieją się w dużym mieście, ale też i prezentowanie tej muzyki wymaga dużo różnorodnych obiektów. Takie obiekty są we Wrocławiu, nawet o bardzo ciekawych i stylowych wnętrzach, doskonale odpowiadających formom i gatunkom muzycznym prezentowanym w programie tego festiwalu.

Festiwal od 1978 r. jest członkiem Międzynarodowego Europejskiego Stowarzyszenia Festiwali w Genewie.

To nadaje mu większą rangę. Jest on przez Stowarzyszenie reklamowany w świecie i przez to bardziej widoczny.

Co z ideą festiwalu?

Idea przewodnia festiwalu stworzona przez Andrzeja Mar-

Kusi mnie teatr operowy

tydzień, co z kolei pozwolił wzbogacić artystycznie całą imprezę o nowe elementy. Myślę o przedstawieniu baletowym i o koncercie symfonicznym o koncercie folklorystycznym w plenerze. Pomysłów mam więcej, ale dziś nie chciałbym się z nimi jeszcze zdradzać.

Kieruje Pan również innym poważnym festiwalem muzycznym w kraju, którego był Pan także współtwórcą. Chodził nam oczywiście o „Wratislavia Cantans”. W tym roku będzie to już dwudziesty festiwal, a więc też jubileusz.

Szefem festiwalu oratoryjno-kantatowego jestem nieco dłużej. W pierwszym okresie tej imprezy funkcję tę pełnił Andrzej Markowski. Po odejściu tego muzyka z Wrocławia, ja przejąłem jego obowiązki i od 1989 r. — w różnej skali — jestem odpowiedzialny za ten festiwal.

...a charakter festiwalu?

Jest to inny festiwal niż w Dusznikach, jego format jest zdecydowanie większy. Muzyka tu prezentowana to duże formy oratoryjno-kantatowe wymagające wielkich zespołów, chórów, orkiestr, solistów-wokalistów... i nie tylko.

kowskiego została zachowana w swych generaliach. Zasadniczym motywem festiwalu są bowiem oratoria i kantaty. Niemniej jednak impreza została wzbogacona tematycznie. Wprowadziliśmy operę, recitale wokalne — czego przedtem nie było. Od ubiegłego zaś roku festiwal wzbogacił się o kolejną nową formę: wielki recital laureatów międzynarodowych konkursów wokalnych. Poza tym wzbogacił się on także o szereg imprez towarzyszących, sesje naukowe, kursy dla pedagogów i wokalistów, studentów wokalistów i kurs wykonawstwa muzyki oratoryjno-kantatowej.

Jak tylko z podanych tu przykładów widać, jest to kompleks różnych imprez, które jednak współtworzą pewną całość — od teorii do samego wykonawstwa muzyki oratoryjno-kantatowej. Staram się pozyskiwać dla festiwalu coraz więcej i coraz lepszych zespołów i solistów.

Są to sprawy kosztowne, więc i nietławe.

Tym niemniej w ubiegłym roku gościliśmy na Wratislavia Cantans BBC Scottish Sym-

phony Orchestra pod dyr. Jerzego Maksymiuka, Düsseldorf Symphoniker pod dyr. Bernharda Klee i jeszcze kilka innych zespołów. Nie wspominam tu o polskich zespołach, występujących na naszym festiwalu niemal regularnie, jak również i o tych debiutujących.

Chodzi tutaj nie tylko o pokazanie wykonawstwa polskiego, lecz także o porównania z zespołami zagranicznymi. Możliwość udziału w międzynarodowym zestawie zespołów jest czynnikiem mobilizującym do podnoszenia poziomu artystycznego.

Melomani znają Pana przede wszystkim z sal i estrad filharmonicznych. Czy nie kusi Pana fosa teatru operowego?

Myślałem już o tym. W przeszłości miałem bardzo konkretne propozycje z Teatru Wielkiego w Warszawie i nowsze propozycje z Teatru Wielkiego w Łodzi. Była też oferta z Wrocławia. Te propozycje mnie interesują, ale ich zrealizowaniu przeszkadza brak czasu. Przy moich obecnych zajęciach zawodowych z trudem udaje mi się znaleźć choćby dziesięć dni w roku na urlop wypoczynkowy. Stąd uważam, że powinienem się zastanowić czy z czegoś nie zrezygnować — właśnie na rzecz spróbowania sił w operze. Opera wymaga jednak sporo czasu na przygotowanie. Aby się podjąć takiego przedsięwzięcia, należałoby wyliczyć się z moich obecnych zajęć, co najmniej na okres jednego bądź dwóch miesięcy. Tymczasem terminy wyjazdów z orkiestrami i indywidualnie nie pozwalają mi aktualnie na współpracę z operą...ale fosa operowa jednak mnie kusi.

Kraków — fascynujące dla każdego — miasto bogate w wielkich tradycji kulturalnych, takich samych i w pełni uzasadnionych ambicji L. trochę smutnej rzeczywistości. Podjął się Pan — w bardzo trudnym okresie dla tej instytucji muzycznej — kierowania Filharmonią Krakowską. Dlaczego?

Dziś o tych sprawach już mogę mówić z przyjemnością. Faktem jest, iż objąłem orkiestrę w nie najlepszym okresie. Po odejściu dyr. Jerzego Katlewicza pozostawała ona przez długi czas bez szefa. Trzeba było więc wiele rzeczy budować od nowa, np. odpowiednio ukształtować repertuar, uzupełnić zespół orkiestrowy, wrócić do pewnych form koncertowych, odbudować koncerty dla młodzieży itp.

Muszę powiedzieć, że mojemu przyjazdowi do Krakowa towarzyszył sceptycyzm wielu związanych z tym miastem ludzi. To jednak utwierdziło mnie w uporze do działania i mogę obecnie z satysfakcją powiedzieć, że ubiegły sezon został oceniony (nie przez mnie tylko) jako jeden z ciekawszych sezonów ostatnich lat.

Zdecydowanie wzrosła frekwencja na koncertach, odbywają się koncerty szkolne; stworzyłem tam cykl koncertów pt. Musica Ars Amanda. Pracowałem nad tym rok. Też koncerty odbywały się przy stuprocentowej frekwencji. Bardzo dobrze układają się moje współpraca z kuratorem, z dyrektorem drukarni (który drukuje piękne programy). Krakowska młodzież cudownie wprost umie słuchać muzyki i nie strzela z procy — jak mnie straszono na początku mojej tam pracy.

Po trzech latach pobytu w Krakowie, mogę mówić z satysfakcją o tym, co dzięki moim współpracownikom, wielu ludziom dobrej woli i wrażliwości estetycznej młodzieży — udało nam się wspólnie zrobić.

Okazuje się więc, że poziom polskich zespołów i instytucji muzycznych zależy także od preżności ich kierownictwa. Także i w trudnych czasach dla kultury polskiej można wiele zrobić.

Ale trzeba przede wszystkim chcieć i uparcie pokonywać trudności.

Czy ma Pan ulubionego kapelmistrza?

Mam wielu, nie mam natomiast wzorca.

MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Foto: Marek Grotowski

W MINIONY poniedziałek 11 marca rozpoczął się w Łodzi VI Ogólnopolski Festiwal Filmów Dydaktycznych i Sympozjum Metodyczne. Festiwal trwać będzie do 15 bm. Zgłoszonych zostało 118 tytułów z 11 wytwórni. Komisja kwalifikacyjna umieściła w konkursie 67 filmów. 20 zaś pokazanych będzie w sekcji informacyjnej. Na 11 pokazach konkursowych zaprezentowane zostaną cztery kategorie filmów: dla szkół ogólnokształcących, zawodowych, dla wyższych uczelni i filmy popularyzujące wiedzę. Festiwalowi towarzyszy Sympozjum Metodyczne. Zostało ono przygotowane przez Oddział Łódzki Centrum Szkolenia Nauczycieli. Obieime ono 12 lekcji modelowych z wykorzystaniem filmu w 11 łódzkich szkołach. Udział w festiwalu zapowiedziało Międzynarodowe Stowarzyszenie Filmu Naukowego, które wystąpiło z inicjatywą przekształcenia tej imprezy w festiwal międzynarodowy i targi filmu dydaktycznego.

8 MARCA w salach Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarta została wystawa malarstwa Almagi artystki z Belgii, która urodziła się w Łodzi. W Łodzi także rozpoczęła studia Almagi to Aleksandra Małgorzata Gaganszwill.

W OSIEDLOWYM domu kultury „Radogoszcz” czynna jest wystawa zorganizowana przez Klub Młodych Plastyków. Na wystawie pokazano 20 obrazów olejnych i około 15 grafik. Tematyka prac jest bardzo różnorodna: pejzaże, martwa natura, sceny rodzajowe. Autorami prac są młodzi amatorzy: Andrzej Izidorczyk, Sławomir Bojko, Małgorzata Makowska, Kazimierz Sławek i Piotr Dobrzyński.

W BIURZE Wystaw Artystycznych obejrzać można wystawę rysunków i obiektów Edwarda Łazikowskiego.

W I SPECJALNYM Ośrodku Szkolno-Wychowawczym i w Zasadniczej Szkole Zawodowej nr 5 odbędzie się uroczystość pt. „Łódzkie szkolnictwo specjalne w 40-lecie PRL”. Organizatorami imprezy są: Kuratorium Oświaty i Wychowania, Zarząd Okręgu ZNP i Komenda Chorągwi ZHP. Otwarta zostanie także wystawa pod tym samym tytułem w ZSZ nr 5.

W GMACHU Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku czynna jest wystawa pokonkursowa pt. „Prowincja”

Z CIEKAWĄ inicjatywą wystąpiła dyrekcja i uczniowie Zespołu Szkół Ekonomicznych nr 2 zorganizowali oni bowiem szereg niewątpliwie interesujących imprez z okazji Dnia Kobiet. 8 marca w gmachu szkoły odbył się m.in. finał konkursu „Dziewczyna Roku 85” połączony z plebiscytem publiczności oraz otwarcie wystawy „Kobieta na kartach odczuwania świata” — ze zbiorów Stanisława Bulkiewicza, członka Klubu Młodych Kolekcjonerów.

Odpowiedź

WOJEWÓDZKIEJ STACJI POGOTOWIA RATUNKOWEGO W SPRAWIE ARTYKUŁU EDWARDA BRYLA PT. „WRZÓD”

Redakcja tygodnika „Odgłosy” otrzymała 25 lutego 1985 r. pismo z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi w sprawie artykułu Edwarda Bryla pt. „Wrzód”.

Pismo to podpisał:
— w imieniu POP PZPR — BARBARA ŁOKAJ,
— w imieniu Związku Zawodowego Pracowników WSPR — KRYSZYNA BEDNAREK,
— dyrektor WSPR — lek. med. JERZY OKIŃCZYĆ.

Do pisma dołączonych było 11 odpisów różnych dokumentów lub wyciągów z dokumentów oraz odpis sentencji wyroku Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi z 31 grudnia 1984 roku. W piśmie znajduje się sugestia wydrukowania w „Odgłosach” sentencji tego wyroku (nawet w odcinkach?), a którejto sugestia nie skorzystamy. Nie mamy bowiem takiego obowiązku. Natomiast drukujemy pełny tekst pisma WSPR, z wyjątkiem tego fragmentu, gdzie została naruszona tajemnica lekarska, co zostało odpowiednio zaznaczone. Kropki w nawiasach (...) w tym tekście oznaczają, że w tym miejscu autorzy listów odwoływali się do załączonych dokumentów. Treść tych dokumentów przytoczyliśmy do wiadomości.

A oto pełny tekst pisma Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi:

Obywatel
Tadeusz Szlachowski
Minister Zdrowia i Opieki Społecznej
ul. Miodowa 15
WARSAWA
Obywatel
Lucjusz Włodkowski
Redaktor Naczelny
Tygodnika Społeczno-Kulturalnego „ODGŁOSY”
ul. Sienkiewicza 3/5
ŁÓDŹ

W odpowiedzi na artykuł E. Bryla w tygodniku „Odgłosy” Nr 6 z dnia 9 lutego 1985 r. — Kierownictwo WSPR w Łodzi informuje:

1. Ob. lek. A. Targaszewska podjęła pracę w Stacji od dnia 1.IX.1979 r. i była zatrudniona do 30 listopada 1984 r. Pracowała w dni robocze od godz. 7.00 do 14.00 w drugim zespole wyjazdowym położniczo-ginekologicznym tak jak inny lekarz zatrudniony etatowo w pierwszym zespole. Umowa o pracę została rozwiązana za wypowiedzeniem z dniem 30 listopada 1984 r.

Latem 1984 r. lek. A. Targaszewska dowiedziawszy się o zamiarze rozwiązania umowy o pracę, zwróciła się ze skargami na WSPR do Prezydenta Miasta Łodzi, KŁ PZPR, Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi (około 13 stron maszynopisu). (...)

Wniosek również odwołanie do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi od orzeczenia Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy, która utrzymała w mocy wypowiedzenie stosunku pracy. Następnie Sąd w dniu 31 grudnia 1984 r. oddalił odwołanie lek. A. Targaszewskiej o przywrócenie do pracy. W czasie sprawy sądowej została ukazana postać lek. A. Targaszewskiej, co znalazło właściwe odzwierciedlenie w uzasadnieniu do orzeczenia.

Oto kilka urywków z tego uzasadnienia:

„Wnioskodawczyni obrażała położne nazywając je np. „flejtuchami”, „chamkami”, lekceważyła je, obmawiała przed innymi pracownikami i osobami spoza zakładu pracy, ubliżała im, wywoływała liczne nieporozumienia stwarzając nerwową atmosferę, interesowała się ich prywatnymi sprawami życiowymi. Kwestionowała ich umiejętności fachowe...”

Następnie: „Przychodząc na dyżur powodowała różnego rodzaju nieporozumienia i kłótnie, a następnie opuszczała dyżurkę. Siedziała wówczas na korytarzu, bądź przebywała w dyżurce innego zespołu opowiadając tam o rzekomych sytuacjach, jakie występowały w zespole położniczym tj. picie alkoholu przez personel zespołu, kłótniach wszczypanych przez położne, braku ich kwalifikacji i niewykonywaniu poleceń itp.”

Oraz: „Zdarzały się przypadki, że wnioskodawczyni jeździła z położnymi na wizyty, nie wychodziła jednak z karetki nakazując udzielenie pomocy pacjentce przez położną. Od sierpnia 1984 r. nie powiadamiała i nie zabierała na wizyty położnych, mimo iż konkretne zgłoszenia dawały podstawę do wizyty lekarza i położnej. Położne wówczas przez cały dyżur nie wykonywały żadnej pracy...”

Okazało się, że będąc wcześniej zatrudniona w Szpitalu w Zgierzu i w Przychodni Międzyzakładowej przy Zakładach Przemysłu Skórzanego „Skogar” w Łodzi — współpracownicy odechnęli z ulgą po odejściu w.w. lekarki. Kierownik Przychodni przy Zakładach „Skogar” na okoliczność konfliktowości i innych trudności z w.w. lekarką zgłosił chęć zeznania jako świadka w Sądzie (odpis w aktach sprawy). Wcześniej, gdy musiała odejść ze szpitala w Zgierzu dyrekcja tamtejszego ZOZ jesienią 1977 r. otrzymała od ordynatora pisma ukazujące lek. A. Targaszewską, jako lekarkę nie nadającą się do pracy w oddziale. (...)

W czasie zatrudnienia lek. A. Targaszewskiej w WSPR odbyło się kilkadziesiąt narad, spotkań mediacyjnych i interwencyjnych celem załagodzenia konfliktu. Dowody w WSPR i Sądzie. Ostatnio z udziałem lekarzy z nadzoru specjalistycznego w zakresie ginekologii i położnictwa — dr A. Myszczkowski, i dr St. Tomczak. Prawie zawsze uczestniczyli przedstawiciele POP PZPR i Rady Zakładowej Związku Zawodowego Pracowników WSPR, w tym jeden raz przedstawiciel KŁ PZPR.

Konflikt narastał, objął cały zespół i ze sfery tzw. stosunków międzyludzkich zaczął sięgać do sfery świadczeń zdrowotnych. Podłożenie przez lekarkę przeterminowanego leku oxiyocyny (...), odsunięcie od pracy położnych, które przez 12 godzin dyżuru nie wyjeżdżały na wezwania wytworzyły nową sytuację. Dokumenty w posiadaniu WSPR Zachodziła obawa, że może dojść do złośliwości w działaniu lub przez zaniechanie ze szkodą dla chorej czy rodzącej kobiety.

W 1983 r., gdy wszyscy: położne i lekarze zespołów położniczych, inni pracownicy oraz Kierownictwo Stacji nabrali przekonania że winna konfliktu jest lek. A. Targaszewska — padła propozycja rozwiązania umowy w drodze porozumienia między zakładami po zagwarantowaniu lekarce zatrudnienia w ZOZ na jednoosobowym stanowisku pracy. Lekarka wówczas, jak wielokrotnie bywało, zachorowała i przebywała na długotrwałym zwolnieniu lekarskim. Nieobecność z powodu choroby kształtowała się nastę-

pująco: 1981 r. — 54 dni, 1982 r. — 168 dni, 1983 r. — 81 dni, 1984 r. — 158 dni.

Jeszcze w Sądzie Pracy była podtrzymywana propozycja polubownego rozwiązania konfliktu. Współpracownicy, organizacje w WSPR, kierownictwo i pozostałe osoby zainteresowane sprawą — wszyscy wykazali nadmiar opanowania, cierpliwości i dobrej woli w dążeniu do ugody.

Lek. A. Targaszewska w WSPR i jak bywało to w poprzednich miejscach pracy spowodowała bezspornie naruszenie zasad współżycia społecznego i prawidłowości stosunków międzyludzkich. Nadto, jako pracownik służby zdrowia — lekarz, dopuściła się wykroczenia zawodowego przez złamanie norm etyczno-deontologicznych. Tych wszystkich zachowań lek. A. Targaszewskiej nie daje się zamieścić w zasadach ogólnie przyjętych i stosowanych w codziennym życiu oraz w przepisach prawnych.

2. WSPR ustosunkowuje się do spraw opisanych w artykule przez E. Bryla, o których wiadomo, a niemożliwym jest udzielenie odpowiedzi na sprawy bardzo odległe w czasie i będące w sferze przypuszczeń.

— Lek. A. Targaszewska w 1982 r. jesienią była delegowana na okres 2 miesięcy do pracy w zespołach tzw. „ogólnochorobowych” w czasie wzmożonej zachorowalności na infekcje grypopodobne. Wówczas nawet lekarze-stażysty byli kierowani do udzielania pomocy chorym. Zetknęła się wtedy z różnorodnymi schorzeniami. Radziła sobie nie najlepiej. Zawsze, gdy wzywała, otrzymywała do pomocy zesp. „R”. Lekki potrzebne mogła brać, jak czyniła i czyniła to wszyscy inni lekarze. Powszechnie wiadomo, że w pogotowiu w kraju jeżdżą lekarze różnych specjalności np. okuliści, laryngolodzy, położnicy czy neurologi itd. oraz bez specjalizacji.

— Zespoły „R” i wypadkowe „W” udają się do wezwań nieważnych. Dowodami są nie tylko wyjazdy do setek tysięcy wezwań indywidualnych, ale i do wypadków zbiorowych. Np. za szybko i ofiarną pomocą poszkodowanym w katastrofie na Retkini kilkanaście osób zostało odznaczonych (lekarze, sanitariusze, kierowcy). Zdarza się pojedyncze przypadki odznaczeń tych zespołów wynikające z niedostatecznej jeszcze ich ilości (są 4 zespoły „R” — potrzeba 6).

Drugą istotną przyczyną są częste wezwania nieuzasadnione dla zesp. „R”. Nie dziwią takie wezwania, gdy są wynikiem niedostatecznej jeszcze świadomości niektórych osób. Gorsze, gdy są takie nieuzasadnione wezwania ze strony osób świadomych tego. (...) (Opuszczony został fragment pisma WSPR, gdyż został naruszony Art. 14 Ustawy z dnia 28 października 1950 roku o zawodzie lekarza. Podstawą do takiej decyzji redakcji jest Art. 33 Prawa prasowego).

W WSPR nie są znane jakiegokolwiek pisma skierowane do władz, jak napisano w artykule: „Na bezwład organizacyjny, tolerancję niektórych pijących...” itd.

— Skargi na WSPR w latach 1977—1984:

1977 r. — 39, słusznych — 13
1978 r. — 22, słusznych — 7
1979 r. — 18, słusznych — 5
1980 r. — 28, słusznych — 17
1981 r. — 30, słusznych — 19
1982 r. — 29, słusznych — 20
1983 r. — 22, słusznych — 11
1984 r. — 23, słusznych — 10

— W sprawie skargi B. Pećkiaka wykorzystano wszelkie dopuszczalne sposoby ustalenia ewentualnej osoby winnej do konfrontacji i wyjaśnienia. Skarżący nie rozpoznał w osobie podejrzanej osoby winnej, jak i w pozostałych osobach pracujących wówczas na zmianie. Na prośbę WSPR o zgłoszeniu się lub podanie potrzebnych danych o rzekomych świadkach, w tym córki — odpowiedzi nie otrzymano. Dokumenty w posiadaniu WSPR.

— Pomówienie dyr. J. Okińczyca o odmowę wyjazdu już było publikowane w tyg. „Przebieg tygodniowy” Nr 3 z dnia 20 stycznia 1985 r. w artykule T. Sienkiewicza pt. „Poślizg”. „Kłótnia przed sąd rozpraw. Jeden ze świadków przypomniał dyrektorowi, że jako jedyny obecny w pogotowiu pediatra odmówił wyjazdu do poparzonego dziecka”. E. Bryl w swym artykule ten temat szeroko rozwinął podając lek. M. Halkiewicza jako informatora. Dnia 21 stycznia 1985 r. na skierowane pismo do w.w. lekarza o poinformowanie jakiego zdarzenia to dotyczy, lek. M. Halkiewicz odpowiedział dnia 23.I.1985 r. „Odpowiedź na pismo z dnia 21 stycznia 1985 r. Przed sąd rozpraw jak Obywatelowi wiadomo było wiele osób. Panowała atmosfera ogólnego zdenerwowania i podniecenia. Wobec powyższego nie rozumiem, dlaczego wyżej wymienioną odpowiedź Obywatel łączy akurat z moją osobą”.

— W tut. WSPR i w kraju w połowie lat siedemdziesiątych były największe braki w obsadzie lekarskiej zesp. wypadkowo-chorobowych. Dotyczyło to szczególnie aglomeracji wielkomiejskich. Dla doraźnej poprawy władze miasta Łodzi podjęły decyzję Nr 183/78 z dnia 8 grudnia 1978 r. nakazującą odbycie raz w miesiącu dyżuru w WSPR lekarzom zatrudnionym etatowo w innych instytucjach (...). Decyzja społecznie uzasadniona naruszała jednak przepisy prawa pracy. Po licznych skargach i odwołaniach do władz zaniechano jej realizacji. W 1978 r. po usilnych staraniach dyr. J. Okińczyca i całego kierownictwa WSPR decyzją Prezydenta Miasta Łodzi Nr 21/78 z dnia 31.III.1978 r. powołane zostały Oddziały Pomocy Doraźnej (OPD) w ZOZ-Dzielnice. Nie były i nie są to podstacje pogotowia. System OPD w ZOZ-Dzielnice powiązany organizacyjnie i funkcjonalnie z WSPR jest optymalnym obecnie rozwiązaniem. Zróznicował wezwania na stany zagrożenia życia i wypadki (pogotowie ratunkowe = WSPR) i na zachorowania nie zagrażające życiu (pomoc doraźna = OPD). Zapewnił pełną obsadę kadrową, skrócił drogę dojazdu zespołów wyp. chorobowych do chorego i jest na razie jedynym w kraju.

— Ówczesna przełożona D. Lysakowska skłoniła personel, była nieobiektywna, naruszyła porządek w pracy. M.in. akceptowała grafiki na dyżur 24-godzinne pielęgniarek i położnych, a 12-godzinne tech. rig. co jest sprzeczne z prawem pracy. Dlatego planowanie tych dyżurów zostało przekazane do właściwej sekcji.

E. Bryl nie zapytał b. przełożonej D. Lysakowskiej — czy będąc członkiem kierownictwa WSPR złożyła wówczas wniosek lub notatkę o swych spostrzeżeniach dotyczących spożywania alkoholu. Szczególnie obowiązkiem przełożonej było reagowanie i zgłaszanie o wszelkich karygodnych zachowaniach.

Faktem jest, że 14.VIII.1984 r. zwolniono z pracy natychmiast lek. A.S. za stan nietrzeźwości.

Jeszcze z uzasadnienia do wyroku Sądu z dnia 31.XII.1984 odwołującego lek. A. Targaszewską: „Nie potwierdził się zarzut, że w zespole położniczych pito alkohol”. (...) Następnie: „Występowały wprawdzie przypadki picia alkoholu przez innych pracowników WSPR w czasie godzin pracy, ale kierownictwo pozwanego zakładu stwierdzając taką sytuację, stosowało odpowiednie sankcje do rozwiązania umowy bez wypowiedzenia z winy pracownika włącznie”. (...) Oraz: „Bezasadne więc było twierdzenie wnioskodawczyni, że tolerowano w WSPR picie alkoholu”.

Zarządzenia dyrektora WSPR potwierdzają stosowanie przez kierownictwo działań zapobiegawczych stanom nietrzeźwości oraz

innym naruszeniom porządku i dyscypliny. Zestawienie zaś o ilości osób zwolnionych z pracy, ukaranych upomnieniami i nagannymi zaświadcza o rygorystycznym i stanowczym stosowaniu kar, jako elementu wychowawczego. W pogotowiu ratunkowym nie są pobłażane przypadki nawet tzw. drobnych przewinień np. opóźnień — bo może to spowodować opóźniony wyjazd zespołu. Praca w Pogotowiu niesie nadto szereg niebezpieczeństw np. od kilku miesięcy dwie lekarki są na zwolnieniach lekarskich po wypadkach na zesp. „R”. Są to przypadki występujące dość często. Szkoda, że społeczeństwo na łamach „Odgłosów” nie może zapoznać się z prawdziwą sytuacją w WSPR i OPD-Dzielnice, z trudną, pełną poświęcenia, uciążliwej i niebezpiecznej pracą.

Niniejsza odpowiedź i załączony wyrok z uzasadnieniem Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi mające na celu uogólnienie i twierdzenie zawartym w cytowanym artykule.

Opublikowanie w całości tego orzeczenia (może w kilku odcinkach — 10 stron maszynopisu) przynajmniej częściowo złaodzi krzywdę, która spotkała tut. WSPR i wyrobi pogląd czytelników na sprawę. Przez pisanie nierzetelnie i jednostronnie krzywdą wyrażoną naszej instytucji nie jest mniejszą od krzywdy wyrażonej społeczeństwu E. Bryl naruszył zasady etyki zawodowej i normy współżycia społecznego.

Założa WSPR na równie świadomości pewnych niedomagań w swojej pracy, lecz dokłada starań, aby eliminować je i podnosić poziom usług. WSPR korzysta z rzeczywistej i uzasadnionej krytyki i widzi zawsze chętnie dziennikarzy ceniących sobie obiektywizm — będących przedstawicielami socjalistycznej prasy.

Prosimy Obywatela Redaktora o opublikowanie naszej odpowiedzi na powołany w wstępie artykuł E. Bryla.

Otrzymuje:

1. Tow. Tadeusz Czechowicz — Członek Biura Politycznego KŁ PZPR, I sekretarz KŁ PZPR, Łódź;

2. Tow. Józef Niewiadomski, Prezydent Miasta Łodzi, Łódź ul. Piotrkowska 104.

„WRZÓD”

Nawiązując do artykułu „Wrzód” w tygodniku społeczno-kulturalnym „Odgłosy” z dnia 9.II.1985 r. pragnę i ja zabrać głos w sprawach tak bulwersujących łódzkie środowisko, jak pijaństwo w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego. Winę za ten stan ponosi Dyrekcja. W latach 1975—77 byłem dyrektorem technicznym w spółdzielni budowlano-remontowej. Zastanawiałem się, co kilka dni był wypadek, którego tematem było pijaństwo w pracy. I pomimo, że dyrektor, chcąc być „dobrym wujaszkiem”, nie wkroczył w te sprawy — ja energicznie w ciągu paru miesięcy wytypowałem pijaństwo. Najpierw kierowałem delikwentów na przymusowe leczenie, a gdy któryś odmawiał leczenia — zwalniałem. Po kilku miesiącach nie spotkało się żadnego pijanego na terenie pracy.

Wracam do Pogotowia Ratunkowego. Skutki pijaństwa personelu tego Pogotowia odczułem na własnej skórze. W dniu 21.IV.81 r. uległem wypadkowi w drodze do pracy w pobliżu Pogotowia. Po kilkunastu minutach przyjął mnie pijany lekarz chirurg. Nie był w stanie wstać z krzesła. Pielęgniarka podciągnęła mnie z krzesłem do pana doktora. Ten ręką sprawdził (o ile pijany człowiek może mieć czucie w palcach) i zawyrokował — skreślenie stawu skokowego. Na przygotowanym druczku wpisał rozpoznanie po łacinie i polecił obandażować staw skokowy oraz: „Jeżeli będzie dobrze — to jutro do pracy, a jeśli źle — to do poradni”. Dał mi i dzień zwolnienia i do widzenia.

Następnego dnia sąsiad zawiózł mnie do Polikliniki Budowlanych i pomógł mi wejść. Lekarz chirurg zdziwił się, że w Pogotowiu nie zrobiono mi zdjęcia RTG, a zasugerował, że do poznania, kazała mi zrobić zdjęcie tylko stopy i dała mi 9 dni zwolnienia, zalecając robienie okładów z alcaity. Po dwóch miesiącach Komisja Lekarska w Poliklinice skierowała mnie do ortopedy. Tu się okazało, że prócz silnego skrzywienia stopy (silne wylewy wewnętrzne) stawu skokowego — miałem naderwane ścięgno Achillesa i miesiąc brzuhaty, w którym wytworzyła się zgorzel i koło kostki wyciekła mi ropa. Ortopeda stwierdził, że jeszcze 2—3 tygodnie, a miałbym amputowaną nogę. Do tej chwili jestem na zabiegach w Poradni Rehabilitacyjnej. Kilka razy przebywałem na leczeniu w szpitalu, sanatorium i w dalszym ciągu jestem na rencie inwalidzkiej. Oto skutki pijaństwa w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi.

Straty poniosłem nie tylko ja — lecz i gospodarka narodowa. Dlatego domagam się skonczenia z pijaństwem (szczególnie w miejscu pracy). Cenię ludzi sumiennych. Po przeczytaniu artykułu „Wrzód”, choć pan doktor Targaszewski nie znalazł osobiście, domagam się przywrócenia Jej do pracy i dania zadośćuczynienia. Winnych zaś tego stanu rzeczy w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego domagam się pociągnięcia do odpowiedzialności.

(Nazwisko i adres do dyspozycji redakcji)

RADA ŁÓDZKA SAP

W dniu 30 stycznia 1985 r. odbyło się walne zebranie reaktywujące działalność Stowarzyszenia Autorów Polskich w Łodzi.

Na zebraniu obecni byli:

Sekretarz Generalny SAP — red. Franciszek Bernas,
Wiceprezes SAP — prof. Stanisław Lewicki,
Przedstawiciel KŁ PZPR — tow. Karol Piąsta,
Przedstawiciel Wydziału Kultury UM Łódź — M. Przybylska.

W trakcie zebrania oceniono działalność Rady Łódzkiej SAP za lata 1982/84. Podjęto uchwałę o reaktywowaniu Rady Łódzkiej SAP i przekazaniu informacji do władz rejestracyjnych i administracyjnych miasta.

Wybrano nową Radę w składzie:

Prezes Rady Łódzkiej — Kazimierz Arendt — poeta, prozaik,
I wiceprezes — E. Kolbusz (Wydawnictwo Łódzkie),
II wiceprezes — Bożydar Latkowski — prof. dr hab. med. i Kliniki Otolaryngologicznej WAM,

Sekretarz Rady — A. Michalek — Centrum Kultury Młodych,

Członkowie Rady — Paweł Chmielewski — adiunkt Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, Maciej Rymwid Kononowicz — poeta.

Wybrano Komisję Rewizyjną w składzie:

Przewodniczący — dr Bohdan Piątkowski — sekretarz Red. „Karuzela”,

Członkowie — prof. Leon Niebrzydowski, Dariusz Czubiński — poeta.

Sobotnie przedpołudnie w warszawskim Teatrze Narodowym było dniem wyjątkowej pracy. Już od rana trwały przygotowania do mającej odbyć się próby sztuki szesnastowiecznego hiszpańskiego dramaturga Pedra Calderona de la Barci „Życie jest snem”. Po pracownikach technicznych zjawili się w teatrze aktorzy. Do premiery pozostało już niewiele czasu, dlatego Krystyna Skuszanka reżyserująca spektakl spieszyła się. Zrezygnowała nawet z zaplanowanej przerwy. Była godzina 12.15. Praca posuwała się w szybkim tempie naprzód. Nagle z podłogi sceny zaczął wydobywać się gęsty dym, kilka sekund potem pokazały się języki ognia. Wszyscy w popłochu zaczęli uciekać ze sceny i widowni. Odbyło się to w tak błyskawicznym tempie, że w garderobach pozostawiono ubrania, torebki, dokumenty.

Teatr Narodowy wyposażony został w ognioodporne grodzie, dzięki szybkiemu ich zamknięciu udało się uniknąć przeniesienia ognia na sąsiadujący przez ścianę z Narodowym Teatr Wielki.

Mimo specjalnego systemu przeciwpożarowego, czujników znajdujących się we wszystkich niewrażliwych miejscach system alarmowy włączył się dopiero o 12.23. W tym czasie cała scena wraz z pracownią malarską objęta była płomieniami sięgającymi aż po sufit.



O pożarze dowiedziałem się od fotoreportera „Sztandaru Młodych” około godziny 13. W kilka minut później wraz z kolegą z redakcji pedziiliśmy samochodem w kierunku teatru.

Mimo wytężania wzroku ani z wiaduktu przy ulicy Marchlewskiego, ani też z Krakowskiego Przedmieścia nie dostrzeżliśmy żadnych śladów pożaru. Od strony Miodowej też wszystko wyglądało normalnie, jedynie przed bocznym skrzydłem stało kilku milicjantów. Od strony głównego wejścia zaczął jednak wylinać się inny obraz. Na placu stało jedenaście wozów strażackich oraz dwa beczkowsy MPO. Nieco dalej szpaler milicjantów odgradzał powiększający się stale tłum gapiów od miejsca akcji. Wszyscy wpatrzni byli w kłęby białego dymu unoszącego się nad dachem. Nigdzie jednak nie widać było ognia. Do ściany teatru przystawiono wielką drabinę po której bez specjalnego pośpiechu wchodziło kilku strażaków. Inni rozwijali węże gaśnicze, największy rzech panował na balkonie pierwszego piętra oraz na dachu. Pracownicy obydwu teatrów otwierali okna i biegali z bosakami po dachu, towarzyszyła im spora grupa „obserwatorów”. Po kilku minutach kłęby dymu nabrały pomarańczowego koloru, by po chwili wrócić do poprzedniej barwy.

Z placu pożar nie wyglądał specjalnie groźny. Tym większe zdziwienie ludzi wzbudzała stale zwiększająca się liczba wozów bojowych i beczkowsów, które przybywały z wszystkich dzielnic. Po kilku godzinach w akcji uczestniczyło już 46 sekcji i 29 beczkowsów. Przez główne wejście do środka wchodziłi nowo przybyli strażacy zmieniając najbardziej smęconych, którzy z osmałnionymi twarzami wracali do swoich sekcji. Około 14.00 na miejsce pożaru przybył duży oddział milicji. Mimo tego przedchodnie nie mieli specjalnych trudności z poruszaniem się między ustawionymi przed gmachem pojazdami. Nikt też nie pilnował wejść. Nie zatrzymywani weszliśmy do środka razem z nową grupą strażaków. Wszędzie panował lekki półmrok, ledynie na końcu korytarza ustawiony był zasłany z zewnątrz reflektor. Wykładziny i marmurowa podłoga zalane były wodą sięgającą w niektórych miejscach do kostek. W powietrzu czuło się ostre zapach dymu. Wybrana przez nas droga okazała się jednak zbyt trudna. Ponowiliśmy próbę dostania się do wnętrza przez budynek Teatru Wielkiego. Tu również nikt nie pilnował wejścia. Klucza, znaleźliśmy się w Muzeum Teatralnym. Trwała tu właśnie ewakuacja eksponatów. W pośpiechu przenoszono z muzealnych sal umieszczone w specjalnych pojemnikach: obrazy, kostiumy i dokumenty, ustawiając je na klatce schodowej i w odległych korytarzach.

W największej z sal zatrzymał nas starszy mężczyzna w fufacie „panowie proszę brać się do roboty”, gdy wyjaśniliśmy iż nie jesteśmy pracownikami muzeum i chcemy dostać się na dach powiedział — „mnie to nie obchodzi, tylko żebyście niczego nie wynieśli. Tu wcześniej też był taki jeden, chciał ukraść obraz”. Przez kulisy sali kameralnej po metalowej drabinie dostaliśmy się wreszcie na górę.

Na dachu Teatru Wielkiego tuż przy szczytowej ścianie Teatru Narodowego stało kilkadziesiąt pracowników obsługi technicznej, nieco niżej pracowało kilku strażaków, którzy polewali dach nad sceną oraz nad zapleczem technicznym. Wysiłki te wydawały się daremne. Większość osób oczekiwała w napięciu na zapadnięcie się dachów. „Jeden już siadł” — odezwał się młody chłopak w granatowym roboczym ubraniu — „tylko czekać jak siądzie drugi”. Obydwa przypomniały kopce do wypalania węgla drzewnego.

W tym czasie strażacy uporali się już z wycięciem dziury w dachu, podobne otwory robiono w ścianach umieszczając w nich strażackie węże.

Bez przerwy również polewano ściany nie pozostające w bezpośrednim zagrożeniu. Rynny oraz papa zalegająca dach rozgrzały się tak bardzo, że dotykając ich nawet w rękawiczkach było zbyt ryzykowne.

Na ścianach przylegających do Teatru Wielkiego widać było silne i stale powiększające się pęknięcia.

Chociaż w pobliżu nie brakowało strażaków, nawet starszych stopniem, to w tej części gmachu komendę nad cywilami sprawował mężczyzna w zielonej fufacie. Wydawał polecenia, decydował o rozwinięciu nowych węży. Strażacy tymczasem zrywali papę oraz znajdujące się pod nią deski i blachę. Przy większym podmuchu wiatru wydobywający się z dołu dym ograniczał widoczność do 2-3 metrów.

Ściany zapleczka obydwu teatrów oddalone są od siebie zaledwie o 3 metry tworząc ceglany kanion wysoki na siedem pięter. Już po kilku minutach akcji zostały one połączone dziesiątkami strażackich węży, umieszczonych

w znajdujących się naprzeciwko siebie oknach lub wybitych w ścianie otworach.

Wszędzie panował spokój. Ci, którzy nie mieli nic do roboty lub korzystali z chwili wytchnienia, gromadzili się w małe grupy paląc papierosy i wymieniając zasiłwane plotki i opinie. Młody strażak wyglądający najwyżej na dwadzieścia lat ze zdziwieniem kreślił głową. „Takiego pożaru jeszcze nie widziałem. Wszystko zajęło się bardzo szybko, były tam co prawda materiały łatwopalne, lecz mnie to wyglądało na wybuch”.

Cywilie z Wielkiego rozmawiali przeważnie o sobie. „Gdyby nie my — mówili — to nie by z tego nie wyszło. Byliśmy tu na dachu już po chwili i od razu zaczęliśmy gasić. Nawet jeden z naszych uratował kobietę wzywającą pomocy przez 15 minut z dołu, z jednej z pracowni — opowiadał przystojny blondyn w dreluchu — strażacy przyszli i powiedzieli że to zbyt niebezpieczne, a jednak on poszedł i człowieka uratował”.

Schodząc na dół obeszlśmy wiele teatralnych zakamarków wewnętrznych dziedzińców, kulis, maszynowni, dziwnych korytarzy. Nigdzie nie było żywego ducha, panowała cisza i jedynie mokre ślady wskazywały, że niedawno przechodzili tędy ludzie. Pootwierane były hydranty. Do woli z nich podłączono węże strażackie różnej wielkości i średnicy powystawiane przez okna i wylewające wodę na dach i ściany. Tylko na drugim piętrze spotkalismy spokojnie siedzącą w toalecie sprzątaczkę z przygotowanym na wszelki wypadek wiadrem.

Przed teatrem tymczasem panował wielki ruch. Rozstawiono stanowiska sztabu akcji,

radiostację, ze wszystkich stron dostawiano wielkie drabiny.

Na miejsce pożaru przybyli gospodarze stolicy Marian Woźniak i generał Mieczysław Dębicki. Naprędce zorganizowano też konferencję prasową. Mimo wielkiej liczby strażackich wozów urzeba było czerpać dodatkowo wodę z Wisły. Trzy dwukilometrowe „magistrale” przeciągnięto trasą W-Z. W rejonie teatru podwyższono znacznie ciśnienie, odcjęto dopływ gazu. W warszawskich szpitalach przygotowano 310 łóżek. Zjawili się też nieobecni tego dnia na próbie aktorzy. Większość z nich udała się do pokoju 215, jedyne posiadającego światło. W przestronnym pomieszczeniu panowała atmosfera przygnębienia. Dyrektor Jerzy Krasowski zwołał zebranie pracowników informując ich o sytuacji. Witold Pyrkosz i Włodzisław Gliński mają izy w oczach, Krzysztof Chamiec i Borys Marynowski żywo rozmawiają o niedawnych przeżyciach. Wszyscy jednak są pewni, że zespół nie może przestać istnieć. Trzeba tylko dostać zastępczą salę. Niektórzy cichutko wymieniają swoje opinie o przyczynach katastrofy.

Po kilku godzinach walki udaje się pożar powstrzymać, by zagaśić ostatnie ogniska około godziny dziewiętnastej. Jednak aż do rana strażacy pozostają w pogotowiu. Tuż przed dwudziestą udaje się nam dostać na salę, a



Foto: Leopold Dzikowski

raczej na to, co po niej zostało. Wyglądało to niesamowicie. Całe pomieszczenie pokryte było grubą czarną mazią. W powietrzu wyczuwało się kwaśny nieprzyjemny zapach, z sufitu i balkonów lały się strugi wody. W zupełnie ciemnym pomieszczeniu poruszali się, świecąc jedynie latarkami, strażacy i pilnujący porządku milicjanci. W miejscu gdzie znajdowała się scena widniała dziura. Kruczooczarne resztki sceny i zapleczka z trudem dawały się rozpoznać. Stalowa kurtyna na skutek wielkiej temperatury została po prostu stopiona. Niesamowite wrażenie sprawiał więc wiszący nad sceną reflektor, na którym nie znać było nawet śladów sadzy. Specjalnie nie ucierpiała też widownia. Krzesła wyglądały jak umazane czarną farbą, pozostały jednak całe — uratowała je stalowa kurtyna. Na podłodze przewalały się fale wody pokrytej pianą. Przyległe do sali korytarze pozostały nie zniszczone, tylko na białych niegdyś sufitach i ścianach układały się abstrakcyjne figury i obrazy z czarnej tłustej substancji. Podobnie jak w południe także i wieczorem cały Teatr otoczony był kordonem milicjantów, którzy tym razem zatrzymywali wszystkich intruzów. Chociaż pożar sprawił niemało kłopotu setkom strażaków i pracowników dwóch teatrów, to jednak na zewnątrz ślady żywiołu były minimalne. Jedyne można było zauważyć trochę osmałone ściany i kilka powybiłanych szyb i to tylko od strony głównego wejścia. Z pozostałych stron teatr był nietknięty. W wielu pomieszczeniach Teatru Wielkiego świeciły się światła.

Późnym wieczorem na placu przed budynkiem powołał ładowano sprzęt gaśniczy na samochody. Odjeżdżały też beczkowsy MPO. Nie widać było już ani jednego „kibica” — wszystkich ogarnęło zmęczenie po wielogodzinnej walce z żywiołem, nawet tych biernie przyglądających się całemu przedsięwzięciu.

Następnego dnia rano przed teatrem stały już tylko dwa pojazdy i z trudem można było odnaleźć ślady niedawnej tragedii. Choć w teatrze w momencie wybuchu pożaru znajdowało się około stu osób, z których 30 pozostało w bezpośredniej strefie zagrożenia życia, to jednak obrażeniom lub zacczadzeniu uległo tylko dziewięć osób. Trzy z nich, w tym dwóch strażaków, przebywają w szpitalach na Bródnie i przy Lindleya. Życiu ich nie zagraża już niebezpieczeństwo.

Ta niewielka liczba poszkodowanych jest wynikiem nie tylko szybkiej i przeprowadzonej z wielkim rozmachem akcji, nie tylko rezultatem ofiarności i pomocy pracowników z sąsiedniego Teatru Wielkiego, lecz również faktem, iż na sześć dni przed pożarem przeprowadzono szkolenie przeciwpożarowe. Podkreślił to zarówno aktorzy, jak urzędnicy i pracownicy techniczni.

Gdy już osłabły pierwsze emocje tematem numer jeden stały się spekulacje na temat przyczyn pożaru. Teatr Narodowy posiadał bowiem nową zainstalowaną niedawno aparaturę przeciwpożarową. Także przeprowadzona w ubiegłym roku kontrola zabezpieczenia przeciwpożarowego wypadła pomyślnie.

Przyczyny ustali specjalnie powołana komisja. Jednak na podstawie znanych faktów i relacji świadków można już obecnie snuć domysły na ten temat z dużym prawdopodobieństwem. Trudno przypuścić, by katastrofę spowodowało nagłe zwarcie instalacji elektrycznej czy zapróżnienie ognia niedopalkiem papierosa. Rozprzestrzenianie pożaru było tak gwałtowne, że wielu przebywających na miejscu ludzi myślało, iż nastąpił wybuch, choć w teatrze zapewne nie znajdowały się żadne tak gwałtownie reagujące substancje.

Jak zgodnie podkreślali kierujący akcją gaśniczą oficerowie straży pożarnej, pożary teatrów kończą się zazwyczaj całkowitym ich spalaniem. Dzieje się tak ze względu na dużą ilość występujących materiałów łatwopalnych, farb, kostiumów, mebli, rekwizytów. Także specyficzny dla teatrów układ architektoniczny z licznymi kanałami wentylacyjnymi, korytarzami i sceną stwarza szczególne zagrożenie. Nie więc dziwnego iż strażacy liczyli się z możliwością ugaszenia pożaru dopiero w niedzielę rano. Zamiast jednak w 20 godzin, uporano się w trzy razy krótszym czasie.

Zabrakło stolicy i całemu krajowi jednej z najważniejszych scen i niewielkim pocieszeniem w tragedii może być fakt, iż za pół roku Teatr Narodowy zostaby i tak zamknięty, jako że planowano przeprowadzenie kompleksowego remontu.

Scena kameralna przy tak wielkim reperuarze (w sobotę trwały jeszcze próby do dwóch innych sztuk) z pewnością nie rozwiąże sprawy. Potrzebna jest duża scena z odpowiednią widownią oraz niezbędnym zapleczem technicznym. Być może do tej roli przystosowane zostanie jedno z warszawskich kin. Władze stolicy obiecały niezbędną pomoc, tak aby skutki pożaru mogły być zlikwidowane w najkrótszym czasie. Pełni zapału są także pracownicy teatru, którzy zaoferowali pomoc w jego odbudowie. Mimo tego wydaje się, że renowacja potrwa kilka lat. Do pracy zabrano się już następnego dnia, to jest w niedzielę. Przeprowadzono niezbędne prace zabezpieczające, przystępując jednocześnie do szacowania strat i ustalenia przyczyn pożaru. W Teatrze Wielkim w niedzielny wieczór odbył się już normalny spektakl.

Jeżeli chodzi o poczynania Sindony, Calviego i Marcinkusa wobec Banca Cattolica Veneto, to wszystkie będące do dyspozycji punkty zaczepienia wskazują na istnienie kryminalnego sprzyświeżenia, w które wszyscy trzej byli zaangażowani w równym stopniu. Ponieważ akcje tego banku należały do wielu kościołów w regionie weneckim, ich sprzedaż bez wiedzy i aprobaty właścicieli stanowiła oszustwo i była nielegalna. Marcinkus chciał więc utrzymać tę operację w tajemnicy, nawet przed panieństwem. Kilka lat później w rozmowie z Flavio Carboni, Calvi przedstawił to następująco:

„Marcinkus, człowiek uparty, urodzony na przedmieściu Chicago jako syn biednych ludzi, chciał, by o tej operacji nie dowiedział się nikt, nawet boss, to znaczy papież. Ja byłem tym, który ciągle mówił: „Idź do bossa i powiedz mu to”. Marcinkus posłuchał mojej rady. Nieco później załatwił mi audiencję u Pawła VI, który dziękował mi, ponieważ uregulowałem tymczasem kilka problemów biblioteki Ambrosiano. Wiedziałem oczywiście, że w rzeczywistości dziękował mi za Banca Cattolica Veneto” (Carboni potajemnie nagrał na taśmę tę i inne rozmowy z Calvim między październikiem 1981 r a majem 1982 r.).

Kto szuka potwierdzenia tego, iż najpóźniej na początku lat siedemdziesiątych papież stał się de facto prezesem koncernu międzynarodowego, znajdzie je być może w tym, że Calvi mówiąc o Ojcu Świętym, następcy na tronie św. Piotra, o Pontificie Maximusie, posiadacz tych wszystkich godnych i świętych tytułów, nazywał go po prostu „bossem”. Podobnie pouczające są pełne zakłopotania pytania Calviego pod adresem Marcinkusa: „Czy jesteś pewien? Możesz je otrzymać?”. Mediolański bankier znał z pewnością dokładnie ściśle powiązania, jakie istniały między Banca Cattolica a duchowieństwem Weneckim. To, że Marcinkus chciał początkowo przeprowadzić transakcję bez wiedzy papieża, jest kolejną wskazówką demonstrującą, jak problematyczną była sprzedaż banku Calviemu. (...)

We wrześniu 1976 r. włoskim organom ścigania udało się wreszcie wymusić aresztowanie Sindony w Nowym Jorku. Było to pierwsze, ważne zwycięstwo etapowe osiągnięte w ich długiej walce o jego ekstradycję. Sindona wyraził swoje zaskoczenie tym faktem, zarzucając jednocześnie, że „Stany Zjednoczone teraz, po dwóch latach od skierowania przeciw niemu we Włoszech tych fałszywych oskarżeń, zdecydowały się wszczęć postępowanie w sprawie ekstradycji. Chciałbym podkreślić, że oskarżenia te sformułowano w wyniku mało znaczących dochodzeń lub nawet bez nich i są one po prostu fałszywe”. W końcu zwolniono go za kaucją w wysokości 3 mln dolarów, ale w 1977 r. sieć zaczęła się ostatecznie zaciągać. Gremium oskarżycielskie badało domniemane naruszenie prawa Sindonę w związku z upadłością Franklin-Bank.

Sindona walczył wszelką bronią, jaką miał do dyspozycji. Wpływowi ludzie zeznawali przed gremium oskarżycielskim i udzielali rekinowi pomocy odciążającej go zeznaniami Carmelo Spagnuolo, prezes Najwyższego Trybunału w Rzymie oświadczył pod przysięgą, że oskarżenia przeciw Sindonie są wynikiem intrygi komunistycznej. Przysięgał, że Sindona ma czyste ręce, że ludzie którzy zajmowali się we Włoszech przygotowywaniem oskarżenia przeciw niemu w najlepszym wypadku byli dyblantami i działali na polecenie oskarżycieli kierujących się motywami politycznymi. W końcu zdumionym członkom amerykańskiego gremium oskarżycielskiego oświadczył, że wielu funkcjonariuszy włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości sympatyzuje z lewicowym ekstremizmem, i że rekin, jeżeli dokona się jego ekstradycji do Włoch, prawdopodobnie zostanie zabity. Carmelo Spagnuolo był członkiem P 2.

Również Licio Gelli przysięgał, że Sindona jest wybraną ofiarą sprzyświeżenia komunistycznego. Oświadczył, że jemu samemu zarzucano, iż jest „agentem CIA”, szefem jednego z argentyńskich szwadronów śmierci, rezydentem tajnej służby portugalskiej, koordynatorem greckiej, chilijskiej i zachodniomemieckiej służby tajnej, przywódcą międzynarodowego, podziemnego ruchu fałszywców”.

Nie podjął żadnej próby odrzucenia któregoś z tych zarzutów. Nie dostarczył żadnych dowodów na to, że były to stwierdzenia nieprawdziwe. Zadawał się podważeniem ich wskazówką „następujących wpływach komunistycznych we Włoszech”. Pod przysięgą złożył natomiast później niektóre swoje wypowiedzi, takie jak na przykład: „Wpływy komunistyczne utrwalały się już w pewnych strukturach państwowych, szczególnie w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie w ciągu ostatnich pięciu lat nastąpiło przesunięcie polityczne z centrum ku skrajnej lewicy”. Również tego nie podbudował żadnym dowodem.

Stwierdził jedynie kategorycznie, iż z uwagi na „infiltrację” włoskiego aparatu wymiaru sprawiedliwości przez lewicę, proces Sindony we Włoszech nie byłby uczciwy, pomijając już zupełnie to, że zostałyby on prawdopodobnie zamorłowany. Dodał jeszcze do tego: „Komuniści nienawidzą Michele Sindony, ponieważ jest on antykomunistą i zawsze opowiadał się za systemem swobodnego wolnomularstwa w demokratycznych Włoszech” (...). Autor opisuje następnie szeroko zakrojoną akcję szantażu, podjętą przez Sindonę przeciw Roberto Calviemu w celu zmuszenia go do przekazywania jeszcze większych sum pieniężnych. Sindona uważał bowiem, że Calvi nie wywiązał się w pełni ze zobowiązań finansowych wobec niego Calvi uległ tym naciskom, a potem przeniósł się z Mediolanu do Argentyny — przyp. DT-BS).

Wylądowawszy na kontynencie południowoamerykańskim Calvi oddychał z ulgą. Jego napięcie zaczęło opadać. Potem zmarł papież Paweł VI. Między apartamentem hotelowym Calviego w Buenos Aires a różnymi sbonentami telefonicznymi we Włoszech zaczęły się ożywione rozmowy.

Calvi był bardzo przerażony, gdy dowiedział się, kogo wybrano nowym papieżem. Wolałby każdego innego spośród 110 kardynałów niż Albino Lucianiego.

Calvi wiedział dobrze, jaką irytację wywołał w Wenecji kupując Banca Veneto, wiedział także, iż Luciani pojechał do Rzymu i podjął tam próbę uratowania banku dla swojej diecezji. Był również świadomy tego, że Luciani jest człowiekiem o wielkiej skromności osobistej, że w żadnym wypadku nie miał majątku i bezkompromisowo odrzucał dążenie do osiągania zysków materialnych pod religijnym płaszczkiem. (...)

Albino Luciani stanowił dla Michele Sindony i Roberto Calviego bardzo konkretne i poważne zagrożenie. Opisane dalej wydarzenia mają na celu wyraźne zademonstrowanie, co działo się z ludźmi stanowiącymi niebezpieczeństwo dla rekina i „rycerza”.

(...) Jeżeli Albino Luciani chciałby urzeczywistnić swoje marzenie o ubogim Kościele dla biednych, wówczas oczekiwała go herkulesowa praca. Aparat, który powołał do życia Bernardus Nogarą, rozrosł się tymczasem do samoutrzymującego się i reprodukującego monstrum.

Kiedy w sierpniu 1978 r. kardynałowie wybierali Lucianiego na papieża, zaprogramowali swym wyborem konflikt między tym uczciwym, wierzącym i zupełnie nieprzekupnym papieżem a Watykanem Sp. z o.o. Władze prawa rynku kapitałowego, którym posłusznie były APSA i Bank Watykański, zderzyły się z nieugiętą uczciwością Albino Lucianiego.

Kiedy w niepełną 24 godziny po swoim wyborze Albino Luciani otworzył okna papieskich pomieszczeń mieszkalnych, gest ten stanowił w pewnym sensie symbol sposobu pełnienia przez niego powierzonych mu urzędów. Świeże powietrze i jasne światło słoneczne napływały do Kościoła rzymskokatolickiego, w którym

w ostatnich latach pontyfikatu Pawła VI robiło się coraz ciemniej i duszniej.

Luciani, który w czasie, kiedy był jeszcze patriarchą Wenecji, scharakteryzował siebie jako „biednego, przyzwyczajonego do małych rzeczy i cisy człowieka”, stanął teraz przed zadaniem reprezentowania przyzwyczajonego do roztańczenia przepychu Watykanu i zanurzenia się w hałaśliwej ruchliwości Kurii. Syn marynarza był teraz najwyższym pasterzem wspólnoty religijnej, której założycielem był syn cieśli.

Wielu watykanologów, którzy przedtem nie rozważali nawet możliwości, że wybór mógłby paść na Lucianiego, przypięli mu zaraz etykietkę „nieznanego papieża”. W żadnym wypadku nie mógł on być tak nieznaną kardynałom, skoro 99 z nich złożyło przyszłość Kościoła w jego ręce, w ręce człowieka, który ani nie miał wykształcenia dyplomatycznego, ani praktycznego doświadczenia w Kurii. Nie wybrano żadnego z licznych kardynałów Kurii. W zasadzie cała Kuria doznała odprawy, została wzgardzona na korzyść spokojnego, skromnego człowieka, który natychmiast zapowiedział, że woli, by nazywano go pasterzem, a nie pontifexem. Bardzo szybko można było wyraźnie dostrzec, do

(13)

„W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

czego zmierzali Luciani: do całkowitego przewrotu. Jego celem było sprowadzenie Kościoła do jego źródeł, do prostoty i uczciwości, do ideałów i nakazów Jezusa Chrystusa. Jego poprzednicy marzyli o tym samym, ale bardzo szybko zostali dopędzeni i sprowadzeni na ziemię przez rzeczywistość. Taką, jaką pojmovali ich doradcy. Jak jednak ten niewysoki i powściągliwy człowiek miał postawić pierwsze kroki na drodze do zwrotu zarówno materialnego, jak i duchowego, który on i inni uważali za spóźniony?

Wyborem Albino Lucianiego kardynałowie wyraźnie zademonstrowali czego chcieli, a czego nie. Nie chcieli oni jednoznacznie papieża reakcyjnego lub takiego, który nudziłby wiernych oderwanymi od życia i niezrozumiałymi katanami akademickimi.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, myśleli oni raczej o daniu światu sygnału wyborem na papieża człowieka, którego dobroć, mądrość i wzorcowa skromność byłyby wyraźnie dostrzegalne dla każdego. Jeżeli rzeczywistość tego chciała, to otrzymali: pasterza, dla którego dobro jego trzody było najważniejsze.

Dla Rzymian zbyt kłopotliwe było wymawianie imienia, które sobie wybrał, wkrótce więc skrócili go do „Gianpaolo”: papież zaakceptował to pieszczołowe imię z radością i używał go stale przy podpisywaniu listów, które jego sekretarz stanu, Villot za każdym razem szybko zwracał z prośbą o podpisanie prawidłowym formalnie imieniem Jan Paweł. W jednym z takich odręcznych listów dziękował zakonnikom z zakonu św. Augustyna za ich gościnność w tygodniach poprzedzających konklawe. Ten pełen skromności sposób bycia był typowy dla Albino Lucianiego. Dwa dni po wyborze na najwyższego pasterza 800 mln katolików powzięli czas na podziękowanie tym, którzy udzielili mu kwatery.

W innym, napisanym tego samego dnia, liście Albino Luciani uderzył w poważniejszy ton. Pewnemu księdzu włoskiemu, którego pracę bardzo podziwiał, zwierzył się w zaufaniu, że zdawał sobie całkowite sprawę z trudności zadania, jakim postanowił się zająć. „Nie wiem, jak to się stało, że przyjąłem wybór. Dzień później już tego żałowałem, ale było za późno”.

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił po wprowadzeniu się do apartamentów papieskich, było zamówienie rozmowy telefonicznej ze swoimi stronami ojczyznymi na północy Włoch. Kazał połączyć się z całkowicie zdumionym monsignorem Ducoli, swym długoletnim przyjacielem i towarzyszem życia, który był teraz biskupem w Belluno. Powiedział mu, że czuje się samotnie i tęskni za „swoimi ludźmi”. Potem zatelefonował do swojego brata, Eduardo. „Patrz tylko, co zrobili ze mną”. Były to gesty prywatnie; inne, publiczne działania nowego papieża przyciągały uwagę świata. Był to przede wszystkim jego uśmiech. Tym manifestowaniem bez słów swojej radości poruszał jakąś strunę u wielu ludzi. Niemożliwe było, by ktoś nie odczuwał ciepła promieniującego od tego człowieka i pięknym uczuciem było poddawanie się działaniu tego ciepła. Paweł VI zranił sobie wiele milionów wiernych swoją postawą nacechowaną wymuszonym dystansem. Albino Luciani wywierał na ludzi odwrotny wpływ. Sprawiał, że nagle świat znów zaczął interesować się papieżem. Kiedy świat dowiedział się, co kryło się za tym uśmiechem, zaczęła następnica. Uśmiech Lucianiego funkcjonował inaczej niż intelektualne pouczenie w książce, która chciałaby uczynić ze swoich czytelników lepszych chrześcijan; funkcjonował on w sposób bezpośredni, przekazując radość, jaką ten człowiek odnalazł w chrześcijaństwie. Tym, co Luciani demonstrował w sposób i w rozmiarach niespotykanych nigdy przedtem u innych papieży, była umiejętności zwierzania się ludziom czy to bezpośrednio, czy to przez prasę, radio i telewizję. Albino Luciani był niesłychanym atutem Kościoła rzymskokatolickiego.

To, co uczynił, było praktyczną lekcją sztuki zdobywania serc, umysłów i dusz ludzi. Po raz pierwszy prawie od niepamiętnych czasów papież przemawiał do wiernych, postępując się gestami i językiem, które rozumieli. Słychać było jak katolicy na całym świecie oddychali z ulgą. Pomruk uznania było słychać przez cały wrzesień 1978 r. Albino Luciani wzięł Kościół za rękę i udał się z nim w długą drogę z powrotem do postania Ewangelii.

Opinia publiczna przekonała się bardzo szybko, że człowiek ten był wielkim papieżem. Zawodowi obserwatorzy watykańscy nie wiedzieli jednak naprawdę, jak powinni go sklasyfikować. Wielu z nich napisało natychmiast rozumne komentarze na temat znaczenia dokonanej przez niego wyboru imienia, mówiło się o „symbolicznej kontynuacji”, którą ten wybór zapowiadał. Luciani zdawał sobie z tego wszystkiego interpretację w swoim pierwszym kazaniu niedzielnym: „Jan mianował mnie biskupem, a Paweł kardynałem” — najwyraźniej nie miało to wiele wspólnego z kontynuacją. Eksperci napisali artykuł zawierający przypuszczenia na temat tego, co nowy papież uczynił lub czego nie uczynił w tej lub innej sprawie. Znaczna część tych spekulacji stała się makulaturą już po jednym z pierwszych wystąpień Jana Pawła, w którym osztywiał: „...drugi Sobór Watykański, którego nauką chcę poświęcić całą moją misję jako kapłan, jako nauczyciel, jako pasterz...”. Niepotrzebne było snucie przypuszczeń; wystarczyło tylko przeczytać różne uchwały Soboru. (...)

Jednym z rzeczywistych wspaniałych rezultatów sierpniowego wyboru papieża było to, że przy Lucianim za jednym zamachem zbudna stała się cała gromada ekspertów watykańskich, augurów, przepowiedczy i interpretatorów. Informacje o Watykanie mogły

ograniczyć się do dosłownego cytowania wypowiedzi papieża. Wystarczająco wyraźnie można odczytać z nich zamiary Jana Pawła.

Rewolucja, którą zamierzał przeprowadzić Luciani, po raz pierwszy dała o sobie znać 28 sierpnia, kiedy papież ogłosił, że nie odbędzie się żadna ceremonia koronacyjna. Nowy papież zrezygnował z tej uroczystości. Nie będzie żadnej sedia gestatoria, żadnej otwartej lektyki do noszenia papieża, żadnej wysadzanej szmaragdami, rubinami i diamentami tiary, żadnych piór strusich, żadnej sześciogodzinnej ceremonii. Krótko mówiąc, skreślono rytuał, którym Kościół demonstrował, że ciągle jeszcze miał ochotę na doczesną władzę. Albino Luciani musiał przetrwać długie, żaźnię spory z tradycjonalistami watykańskimi, zanim wbrew ich oporowi przeforsował swoją wolę. Luciani, który nigdy nie używał księżącego „my”, pluralis maiestatis, był zdecydowany zrezygnować z księstwa papieskiego ze wszystkimi jego atrybutami wynikającymi z doczesnej władzy i roztańczenia przepychu na korzyść Kościoła kierującego się wyobrażeniami pierwotnych chrześcijan. Swoją ceremonię koronacyjną zredukował do zwykłej mszy. Zamiast śmieszającego widoku pontifexa — który jak jakiś kalif z baśni tysiąca i jednej nocy wznosi się na chyboczący się tron, widać było najwyższego kapłana, udającego się spokojnym krokiem po stopniach schodów do ołtarza. Gestem tym Luciani postawił kreskę pod tysiącletnią historią Kościoła i skierował na do drogi, która miała doprowadzić z powrotem bliżej do Jezusa Chrystusa.

Trójbrzeźną, mającą formę koszki, tiarę zastąpiono pallium, białą wełnianą chustą. Monarchę zastąpił pasterz. Era biednego Kościoła została oficjalnie zapoczątkowana.

Wśród dwunastu głów państw i innych gości, obecnych na ceremonii, byli ludzie, z którymi papież w miarę możliwości nie chciałby się właściwie spotkać. Zwrócił się do swojego sekretarza stanu, by na inaugurację jego pontyfikatu nie zapraszał głów państw Argentyny, Chile i Paragwaju; ludzie kardynała Villota wysłali jednak już zaproszenia bez uprzedniego porozumienia się z Lucianim. Liczyli się z tradycyjną ceremonią koronacji i spodziewali stosowną do tego listę gości.

W ten sposób doszło do tego, że we mszy na placu św. Piotra uczestniczyli generał Videla z Argentyny, minister spraw zagranicznych Chile i syn prezydenta Paragwaju — przedstawiciele państw, w których nie przejmowano się przestrzeganiem praw człowieka. Doszło do głośnych protestów przeciw obecności tych ludzi i prawie 300 demonstrantów aresztowano. Krytycy zarzucili potem Lucianiemu, że ludzie tacy jak Videla uczestniczyli jako goście honorowi we mszy inauguracyjnej. Uwadze tych krytyków uszło jednak to, że odpowiedzialny był za to kardynał Villot. Krytyczne komentarze, o których tu mowa, stały się głośne dopiero wówczas, gdy Albino Luciani nie mógł już na nie odpowiedzieć. Zrozumiałe, że kardynał Villot milczał na ten temat.

Podczas audyencji prywatnej po mszy Luciani, syn socjalisty, czującego odrazę do faszyzmu we wszystkich formach jego występowania, nie pozostawił generałowi Videli wątpliwości co do tego, że przejął humanistyczny sposób myślenia swego ojca. Wyraził swoje zaniepokojenie „Josem desperecidos”, tysięcy tych, którzy zginęli w Argentynie bez śladu. Pod koniec 15-minutowej audyencji generał zastanawiał się, czy nie byłoby mądrzej posłuchać rad funkcjonariuszy watykańskich, którzy do ostatniej minuty usiłowali odradzać mu podróż do Rzymu.

Bardziej harmonijnie przebiegała audyencja z wiceprezydentem amerykańskim, Mondalem. Mondale podarował nowemu papieżowi książkę sporządzoną z tytułowych stron ponad 50 dzienników amerykańskich, zawierających informacje o jego wyborze. Rozsądniejszym prezentem było pierwsze wydanie „Zycia na Missisipi” Marka Twaina. Widocznie ktoś z Departamentu Stanu odrabiał zadanie domowe.

Tak rozpoczął się pontyfikat Jana Pawła I, pontyfikat określony jasno sformułowanymi celami. Albino Luciani nie tracił czasu. Już przed swoją mszą inauguracyjną rozsiadł kilka okrucichów niestranych dla znacznej liczby żołądów watykańskich.

(...) Bez własnej władzy wewnętrznej — żadna mafia wenecka nie zastąpiłaby kliki mediolańskiej w Pałacu Apostolskim — Albino Luciani potrzebowałby każdej iskielki siły wewnętrznej, którą mógłby zmobilizować, gdyby chciał zapobiec uczynieniu siebie przez Kurję jej wicepapieżem.

Watykański aparat rządowy nie pozostał po konklawe bezczynny. W niedzielę, 27 sierpnia, po swoim południowym wystąpieniu Luciani spożywał posiłek z kardynałem Jeanem Villotem. W ciągu swej prawie dziesięcioletniej kadencji sekretarza stanu Pawła VI Villot zdobył opinię człowieka prowadzącego interesy państwa Watykanu z bezgósną suwerennością. W okresie poprzedzającym konklawe Villot funkcjonował jako Camerlengo, to znaczy praktycznie jako urzędujący papież, wspierany przez doradcę gremium kardynalskie. Teraz Luciani prosił go, by „przez pewien czas, dopóki nie znajdzie własnej drogi” pełnił jeszcze nadal funkcję sekretarza stanu. Siedemdziesięciotygodniowy Villot miał nadzieję, że będzie mógł wycofać się z tej funkcji. Luciani zatrzymał go jednak jako swojego sekretarza stanu i zatwierdził na dotychczasowych stanowiskach także wszystkich innych, czołowych kardynałów Kurii; w Kurii zdawano sobie jednak sprawę z tego, że będzie to tylko stan przejściowy. „Rozważać. Podejmować decyzję. Realizować” — Człowiek z gór zachował swoją rozważność także w swojej nowej roli. Gdyby Kuria chciała wiedzieć, jak nowy papież zamierza postępować, potrzebowałaby przypomnieć sobie jedynie jego list do św. Bernarda. Wielu uczyniło to. Zajmowali się oni w ogóle Albino Lucianim bardzo dokładnie. To, czego doszukali się, w wielu wydziałach watykańskich wywołało przerażenie, w niektórych jednak także zadowolenie i radość oczekiwania.

Zgon papieża Pawła VI doprowadził do otwartej wybuchu wielu nabrzmiewających w zaściankowej wspólnoty watykańskiej animozji. Od wielu lat Kuria Rzymska, centralny organ administracyjny Kościoła, była widownią rywalizacji różnych grup i skrzydeł i tylko dzięki zręczności papieża Pawła VI walki te w większej części pozostawały ukryte przed opinią publiczną. Wrogie oboje blokowały się wzajemnie podczas konklawe i dokonywały uniku godząc się na bezcieczne. Jak mniemały, rozwiązaniem, jakim był Albino Luciani. Spór o wpływy rozgorzał teraz znowu z pełną siłą i nowy papież natychmiast został z nim oczywiście skonfrontowany. Wobec wielu przyjaciół, którzy go odwiedzali, Albino Luciani gorzko skarżył się na tę sytuację: „Chciałbym nauczyć się funkcji papieża tak szybko, jak to tylko możliwe, ale prawie nikt nie objaśnił mi problemów i sytuacji w sposób gruntowny i obiektywny. Docierają do mnie prawie wyłącznie narzekania i skargi na wszystko i wszystkich”.

Innemu przyjacielowi z północy zwierzył się: „Zauważyłem, że dwie rzeczy bardzo trudno jest otrzymać w Watykanie: uczciwość i filiżankę dobrej kawy”.

W Kurii Rzymskiej było prawie tyle samo grup i frakcji, co chłopców w chórze chłopięcym Kaplicy Sykstyńskiej.

Był tam na przykład zwolennicy Pawła VI, których zdeklarowanym i wyłącznym celem była troska o ciągłe czczenie w należytej formie pamięci o zmarłym papieżu, a z drugiej strony, zapobieganie wszelkim odchyleniom od poglądów, nauk i proklamacji Pawła VI.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Gallopa
„In God's Name”

1

Spojrzenie znad szachownicy

Slawa, szaleństwo i pieniądze

Wielcy szachiści zawsze zdobywali sławę, niekiedy spore pieniądze, choć zdarzało się również, że umierali w nędzy, albo też popadali w ciężką depresję, zaczęli chorobliwie stronić od gry, która wcześniej przynosiła im rozgłos i sukcesy.

Robert Fischer — najbardziej indywidualność szachowa naszego stulecia — znalazł tego wszystkiego. Jeżeli wierzyć sensacyjnym i często sprzeczny doniesieniom zachodniej prasy eks-mistrz świata pobierający olbrzymie honoraria za same tylko starty w turniejach, obecnie nie tylko stroni od ludzi i mieszka w cieniu zmierzających podejrzanych hoteli, ale był nawet aresztowany za włóczęgostwo, złożył wiele odrzuconych skarg na amerykańską policję, a zarazem nieustannie procesuje się z jakąś religijną sektą, której zapisał większość swojego pokazanego majątku.

Mógłby ten majątek bez trudu pomnożyć, gdy na Filipinach organizowano bowiem wielki turniej szachowy, prezydent Marcos — oczywiście przez pośredników — za sam tylko udział oferował mu okragły milion dolarów. Fischer ponoc wyraził zgodę, ale nie stawiał się na starcie — ten samotny geniusz cierpi na coś w rodzaju manii prześladowczej, bof sie wszystkich i wszystkiego, a najbardziej już bol sie usiąść za szachownicą...

przedniej formy — zniszczył razem sam siebie.

Oczywiście szachowy świat jeszcze o tym wszystkim nie wiedział, czekano więc z napięciem na pierwszy mecz Fischera w obronie tytułu, przeciwnikiem miał być mało jeszcze znany 22-letni Rosjanin, Anatolij Karpow.

Zaczęły się targi regulaminowe — Fischer, jak kiedyś Steinitz, chciał grać do 10 zwycięstw — i rozmowy o pieniądzu. Do przetargu stanęły trzy miasta: Mexico-City, Mediolan i Manila, która — jako się rzekło — dokonała iście pokerowego przebiecia, proponując 13 milionów franków szwajcarskich, czyli około 5 milionów dolarów!

Tę sumę — dzieloną między zwycięzcę, pokonanego i w małej części zasilającą fundusz FIDE — Fischer zaakceptował, upierał się jednak przy swoich żądaniach regulaminowych. Większość z nich została przyjęta, odrzucono jedynie punkt mówiący, że przy stanie remisowym 9:9 mistrz świata zachowuje tytuł. I to zadecydowało, czy raczej — dziś mamy prawo tak powiedzieć — to właśnie okazało się wystarczająco dobrym pretekstem.

Fischer nie stawiał się w Manili, zrezygnował z pieniędzy, na których wcześniej tak bardzo mu zależało, oddał tytuł bez gry. Zszedł z areny nie pokonany, czy raczej pokonany przez samego siebie, przez paniczny lęk, że kiedyś z kimś może jednak przegrać...

Czy było tak właśnie — tego najprawdopodobniej nie dowiemy się nigdy.

Skoró jednak wielkie, wyczynowe szachy wytwarzają tak straszliwe „ciśnienie psychiczne”, że zawodnicy ocierają się o szaleństwo, czy możemy się dziwić prezydentowi FIDE, że przerwał — pisałem o tym przed tygodniem — trwający już 160 dni i wciąż nie rozstrzygnięty pojedynek między Karpowem a Kasparowem? Oba przeciwnicy chcieli co prawda kontynuować walkę, cena dalszych zmagania o szachową koronę mogła jednak okazać się zbyt wysoka...

JERZY P.

P.S.: I tyle szachowej kontrabandy, którą dość bezczelnie spróbowałem przemycić. W przyszłości obiecuje wybierać tematy wesele — może coś o kartkach, albo o budownictwie?

tery wychodzić — sprawa rzychło zrobiła się głośna i nieco szczegółów przeniknęło na naszą piętę...

Ponoc to nieżył dziennikarz, odważny i próbujący naprawić ten zwirowany świat za numerem. Czasem, jak opowiadano — niezłym skutkiem, zwłaszcza w sprawach kryminalnych, jak dziury w jezdniach, brudne autobusy czy nieświeża kalarepka, na straganie. Do znaczących sukcesów należało też „zjęchanie” niesolidnego szewca, a już sława się ów piasek okrył po opublikowaniu krytycznego mocno reportażu na temat obtuczonych znaków drogowych i fatalnie działającej administracji w osiedlu. Miał nasz dziennikarz odznaczenie jakiegoś wysokiego za zasługi i całokształt otrzymał, gdy niespodziewanie przestał mu w domu funkcjonować telefon. Okazało się wówczas, że miekły jest jak wosk, nieprzygotowany, niedziśnisi, i sprawa która po nas, bywalcach, twardeleach, recydywistach wręcz spłynęła, by jak woda po głę — jego doprowadziła do, nie bójmy się prawdy, zwykłego świra.

Zamiast, że od razu uchylił rąbka tajemnicy (przynajmniej dla niektórych...), udał się z odpowiednimi argumentami, czytał — banknotem NBP — do stosownego majstra, poczęł interweniować. Jak dziecko! Już po tygodniu dowiedział się, że uszkodzona jest linia, co potrwa może dzień, dwa, potem usłyszał, że kable zamokły, następnie te same zamokły. Weiskano mu, że awaria w studzience, potem w centrali, że gdzieś tam podłączają innym abonentom telefony i dlatego jego nie działa. I on wierzył! Nie korzystając z wynalazku pana Bella wysłał telegramy, sygnały dymne, wreszcie zakupił stado gołębi pocztowych. I czekał dzielnie, informując się co tydzień u paniąki z „interwencji”, kiedy i na jego podwórku zaświeci słońce. Ta ostatnia problem miała niewielki — byle tylko nie powtarzać za często tych samych bzdur.

Minał miesiąc, potem drugi i spyneły się rachunki. A cóż w tym dziwnego? Jak bilety PKP zdrożały, to zaraz wagony mają być czyste? Czynsze też skoczyły, ale zsypany zapchane i winda wciąż nie działa, bo ni-by co ma jedno do drugiego? A on już dostał stan przedzawłowy, jakby wczoraj się urodził. Powiem szczerze, panie Redaktorze, że słuchaliśmy zwierzeń dziennikarza i jego reakcji jak bajki o żelaznym wilku; z zachwytem, ale i powątpiewaniem, że jeszcze tacy naiwni istnieją.

No i wreszcie napytał sobie biedy. Teżno już miał jak maratończyk, telefon nie działał trzeci miesiąc, paniąka wysłała mu z palca kolejną opowieść, ale pech chciał, że tego samego dnia facet udał się na konferencję prasową z miejscowym Szefem od telefonów. Zanotował wszystkie problemy i bolączki szachowej Instytucji (brak ludzi, brak kabli, eksperymentalne linie, niska reatowność, brak funduszy na szybzy rozwój etc. etc.), ale wreszcie wziął na odwagę i zwierzył się Bardzo Ważnemu Dyrektorowi ze swoich kłopotów. Ten obiecał pomóc, zanotował nawet numer pechowego abonenta. W trzy godziny później w domu pechowego dziennikarza zadzwonił telefon! A sympatyczne dziesięć zbudzonym głosem tego samego dnia raniem poinformowało go, że nał-wcześniej awaria zostanie usunięta za... tydzień. No i się zaczęło. Coś się popsuło we wnętrzu dziennikarza, ku przerażeniu rodziny biegła po miezkaniu powtarzając w kółko: „Nie ma takiego numeru!” „Kierunek zajęty — proszę czekać”. Dopóki wylewnie drątkował zegarynce za każdorazowe podanie czasu — żona faszero-wała go znanymi jej środkami uspokajającymi, ale gdy oświadczył, że odmawia zapłaty, rachunku za miesiąc, w których aparat nie funkcjonował, zrozumiwała, że bez wizyty w naszym sanatorium się nie obejdzie. Przecież wiadomym jest i mądrzejsi od niego wymyśliłi przepis, w myśl którego niezależnie od pretensji pod adresem telefonistów i ostatecznych efektów odwołań, rachunki trzeba płać w terminie. Bo można nam fachowcy aparacki po prostu odczytać. Płaćć trzeba zawsze — nauczymy się wreszcie tej prostej prawdy, o której wciąż bełni Dziennik Tv, niezależnie od faktu, czy rozmawiamy z niejakim Knapikiem, konsultujemy ceny mydła, czy poszukujemy nagminnie ginących na szlakach PKP węglarek.

No, tośmy się pośmiałi z frajera — zawyrokał Stasio polewając dla otuchy z pierśsiówki-nierozłączki, gdy już nasz nowy kolega z buńczuczym o-

krzykiem „Wzrucz monetę!” u-

dał się do swego pokoju. Oj, przybędzie teraz pacjentów — pokiwiała sgrabna główka siostra Halinka, która od czasu występów w zakładowej edycji Miss Polonia '85 lansowała rozchyłony od biodra fartuch i fryzurę „mokra Włoszka”.

— Myśli pani o zmiesieniu regulamentacji? — dopytywał się jak zwykle niedziśnisijszy Lysol, swany też „pan Jabu”.

— Nie tylko, nie tylko — przekłona złożyła nogę na nogę, so nas upewnić, że naorawde złożyli nie zakwalifikowano jej do warszawskiego finału, nie mówiąc o Londynie.

— Nowe ceny — to raz, w bankach ludzie szaleją, dolary spod podióg wyciągają, ruszy się budownictwo mieszkaniowe. — Czuję, że spełni się nasze sanatorium...

— To prawda, zima się kończy, nikogo już nie zaskoczy — Stasio wyraźnie się zasmucił, pierśsiówka była prawie pusta. — Ale wiosna przed nami, panowie. — I bardzo bym chciała być w najbliższych tygodniach schodby pod Płockiem.

— Dlaczego akurat pod Płockiem — zdziwił się pod szórem.

— Bo tam chociaż powódź gwarantowana...

STEFAN ŻYCIOWY

3

Lewym okiem

Sędzia kalosz!

Do najbliższego przystanku tramwajowego mam około dwustu metrów. Czy to daleko? Za leży od pory roku. Teraz, o przedwiośnie, a także w odwilżowe dni zimy — to bardzo daleko. Po prostu dlatego, że po drodze nie ma mieszkalnych domów tylko biura, szkoły, fabryki i różne takie — a co za tym idzie, nikt na tej trasie nie sprząta chodników. Te trasy trzeba by przebywać na szrudziach, inaczej brnie się powyżej kostek w rozchlapanym błogu, stopy są po paru krokach mokre, z butów spływa farba, na przyszywy wylażą wielkie białe plamy, których żadną pastą pokryć nie mogą.

Ja nie mówię, że nasze miasto stanowi tu jakiś niechlubny przykład. Gdzieś indziej wcale nie jest lepiej. Po Warszawie w takie odwilżowe dni w ogóle nie da się chodzić, wokół Pałacu Kultury wiatr marszczy wodę na bezbrzeżnych kałużach, a jak mam mówić prawdę — to i w Lipsku i na bocznym uliczkach Berlina jest zupełnie tak samo. Ludzie jakos się znieczuliłi, przestali zwracać uwagę na taki najprostsz komfort jak stąpanie suchą nogą w wielkim mieście. Może sprawiły to samochody? Może na pieszych kładzie się wyczałajnie krzyżyk, a wszelkie udogodnienia rezerwuje dla tych, którym i tak już życie więcej przysporzyło wygód?

W początkach naszego wieku — co wyczytać możemy u Gomułckiego, Prusa i innych gwiazdźarzy — w najbardziej biuńnystych okolicach Warszawy czekający na okazję biedacy przeczuli eleganckich panów na plecach. Kogo nie było stać na takiego nośnika — ubrał się w przynajmniej w kalosze. Taki zapomniany, bardzo już egzotyczny i skutecznie ośmieszony rekwiwit: kalosze.

Jeszcze parę ładnych lat po ostatniej wojnie były masowo produkowane przez przemysł gumowy. Autentyczne kalosze — czyli tekie, które nakładano się na obuwie, a zdejmowało po wejściu do domu, biura,

przychodni i tak dalej. Szybko jednak uznano je za relikty strasznomieszczonoństwa, świadczący o małostkowym, przesadnym dbaniu o swoje cenne zdrówko. Zamiast nosić wielkie gumowe futerały, panowie woleli i wola po dziś ijkąd garściami wiatminy i aspiryny. Mówię „panach, bo panie i dzieci mają swoje śniegowce i gumkielki chroniące stopy przed wodą. Produkcji kaloszy męskich zaniechano, przestali być potrzebna.

Pozostali w literaturze i w porzekadłach. Kiedy chcemy dosadnie scharakteryzować czyją niski poziom umysłowy, mówimy że ów ktoś jest głupi jak but. Jeszcze dosadniej: jak but z lewej nogi. Ale buć to jeszcze całkiem przyjemny przedmiot, więc i obełga zbyt ślaba. Wtedy mówimy „głupi jak kalosz” i to już jest dno. Na to przyszło zacytnym ochranielem męskich stóp, że służą jako odniesienie dla naiższej oocy bliźniego. Stąd chyba wywodził się bojowy okrzyk stadionów: sędzia kalosz! Sędzia pe-pe-giel! (A może geneza tego okrzyku jest inna? Musiałby to wyjaśnić ktoś taki jak Tuwim, jak Wisławałwa Kopałiński). I jeszcze dalsze skojarzenia: Ty jesteś dobry na mokry tor! Czyli — nadajesz się do tego, żeby być kaloszem...

Kiedy ktoś chciał zobrazować trudności nauczania się języka polskiego przez cudzoziemca, przytaczał przykład narzucającej się kontugacji: ja rozszka kalosze, ty nosisz kalosiz, my nosimy kalosimy... Ale przecież nie nosimy ani kalosimy, ani poczelwych kaloszy. Odważnie sanurzamy kończyny w zimnej i brudnej brę, chcąc zejść z chodnika na jezdnie. Po przyjsciu z wizytą do uroczych przyjaćli cierniwiie ki-wamy palcem w bucie, czekając aż palec podescchnie; możemy najwyższ pozażrośćóć Fl. kalskiem i innym klubowym kswalerom, którzy po przyjsciu do „Domu otwartego” zostawiali schłapane kalosze w przedpokoju, a do salonu wkraczali w wytwornych lakierkach. Nam najwyższ pani domu podsunie pod nogi szmate, żebyśmy nie zmarowali dywanu z ostatniej wycieczki turystycznej. A w środku mokro, zimno, mokro...

**WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI**

4

Warto się spóźniać

W bardzo dawnych latach, gdy nie znalazł się jeszcze na zegarze, czas dzielił się dla mnie, jak dla wszystkich dzieci, na dwie pory: dzień, gdy świeci słońce i można się bawić i noc, gdy jest ciemno i trzeba spać.

Kiedy już umiałam odczytywać z zegarowej tarczy godzinę i minuty pojęcie czasu związało się z niemilym słowem „obowiązek”. A więc o siódmej czas wstawać, o ósmej, czas rozpoczynania lekcji (nie spóźniać się), o drugiej czas do domu (prosto do domu, nie biegać z koleżankami, bo czeka obiad). Oczywiście, istniał również i czas wolny, ale i ten nie zawsze przypadał akurat wtedy, gdy moim zdaniem, był najbardziej potrzebny i zawsze trwał zbyt krótko.

Po jedenastu latach takiego treningu w dorosłe życie wkroczałam jako człowiek dość

punktualny i rzadko buntujący się przeciwko zegarowi. Studia jednak okazały się pod tym względem demoralizujące. Różne pory rozpoczęcia wykładów, bardzo mało obowiązkowych zajęć, a na dodatek mądry naukowcy, którzy wymagali od nas, abymyśmy umieli, nie przestrzegali jednak na ogół formalnej dyscypliny.

Dość szybko pozbyłam się więc szkolnych nawyków. Rozpoczynając pracę byłam osobą niezależną w każdym razie od zegara. Sądziłam nałwnie, że tak będzie zawsze, jako że wód wybrałam pod tym względem dem dobry — nienormowane godziny pracy, rozliczenie z efektów, nie z obecności.

Przychodziłam więc na dzień wiają albo na jedenasta, a czasem wcale, uważając, że wszysko w porządku, nigdy nie miałam pretensji do ludzi, którzy, umówieni ze mną, spóźniali się kwadrans, dwie godziny, a nawet dwa dni — bez względu na to, czy spotkanie miało być towarzyskie, czy też służbowe.

Wkrótce jednak okazało się, że popadłam w przesadę: materiał oddany z godzinnym opóźnieniem nie mógł być już wydrukowany z przyczyn technicznych i trafił do kosza, dyrektor, do którego przyoylałam spóźniona zaledwie o trzy kwadrans, nie chciał ze mną rozmawiać, zajęty już czym innym, zaproszona na obiad dostalam już tylko deser.

Po kilku takich nauczankach znowu zaczęłam uczyć się punktualności — ale, niestety, widać mam wrodzone skłonności do przesady, bo znowu przesadziłam. Przez długie lata godzina dwunasta była dla mnie godziną dwunastą — nie pięć po lub za pięć. W efekcie — traćcałam czas, oczekując na zakończenie narady, która powinna skończyć się już dawno, irytowałam się na ludzi, przychodzących na spotkania ze mną z kilkunastominutowym opóźnieniem, zaproszona na imieniny ogledalam popłoch na twarzy pani domu, która, otwierając drzwi, pospiesznie zdejmowała z głowy lokówki.

Przywykłam do tego i eudza niepunktualność przestała mnie irytować — oczywiście, jeśli jest to niepunktualność umiar-kowana — sama natomiast spóźniam się raczej rzadko i to na ogół w sytuacjach towarzyskich. Ostatnio jednak zdążyło mi się spóźnienie „poważne”: gdy dobiegłam na dworzec, pociąg do Warszawy, którym miałam jechać na dość ważną naradę — właśnie odjeżdżał.

Najpierw byłam wściekła — szef ochranił, dzień, na który nie miałam zaplanowane nic innego, zmarował się. Co robić dalej? Wkrótce jednak uświadomiłam sobie, że nie muszę robić nic. Przecież w pracy nikt na mnie nie czeka — a ochranią mnie tak samo jutro, jak i dziś w domu, przekonani, że jestem w Warszawie, spodziewają się mnie dopiero wieczorem. Jestem więc — po raz pierwszy od bardzo długiego czasu — zupełnie wolna i mogę robić wszystko, na co mam ochotę, nie pytając nikogo o zdanie, nie licząc się z niczym. Taki dzień, przypadkowo wolny, dzień w którym nie ma mnie dla nikogo — choć przecież jestem, to więcej niż znalazzenie na ulicy 5 tys. Mogę iść do kina, do muzeum, gdzie najbardziej lubię bywać sama, (a kiedy byłam — już nie pamiętam) albo wsiąść w najbliższy pociąg i zobaczyć, jak wygląda las zimą.

Była ósma. Postanowiłam wypić kawę i spokojnie zastanowić się, jak najlepiej wykorzystam taki szczęśliwy, znalaziony dzień. W pustej kawiarni — porządni ludzie o tej porze są już w pracy, mniej porządni jeszcze śpią — zjadłam duży kawałek tortu, na co nigdy nie pozwalał sobie o tak wczesnej porze w dzień roboczy, (gdymy nie ustawa, wypijałabym i korniał), obejrzałam w gazecie zdjęcia z wyborów miss L... e dziesiątej byłam w pracy.

Trudno tak naprawdę wyrwać się z codziennego kleratu, przewyciężyć nawyki. Zadzwoniłam do domu, posłam do szefów. Oczywiście i w domu, i w pracy wysłuchałam miłośnika niemilych uwag. Jednak dwie godziny całkowitej wolności pozwoliły mi znieść je spokojnie. Choć wstałam bardzo wcześnie — do wieczora czułam się wypoczęta i zrelaksowana. A wszystko przez to, że... spóźniłam się na pociąg. Czasem warto się spóźniać. Był nie za często.

AGATA

2

Felieton pe- symistyczny

I wiosna nas nie zaskoczy...

Szanowny Panie Redaktorze. Pozdrowienia, serdeczności, ukłony i podziękowania za ostatnie egzemplarze „Odgłosów” się, jak zwykle, w pierwszych słowach swego listu. Ale chciałbym wspomnieć dziś o jednym Waszym koleźce z branży, dziennikarzu, którego w stanie ciężkim przywieziono do naszego sanatorium w ubiegłym tygodniu. Niewiele początkowo mogliśmy o nim samym wyścięgnąć od personelu; szef — słynny Lysol powściągliwy był w opowieściach i diagnozach nadzwyczaj, a i mocno z niektórymi zaprzyjaźniona siostra przełożona Halinka musiała jakiegoś dyspozycje otrzymać, bo zbywała nas i temat zmieniała pod byle pretekstem. Ale gdy już zdjęto mu służbowy kaftanik i zaczął, jeszcze pod opieką „bramkarza”, na spa-

Zszokowany trębacz miał tylko dwa wyjścia: prasać kaseta o ścianę i obrazić się śmiertelnie, bądź też wsadzić ją do kieszeni, podziękować uśmiechem i zniknąć.

Wybrał to drugie.

Kiedy dama zamknęła za nim drzwi i wróciła do salonu, Patrick rechotał głośno i bez żenady.

— Nooo, dałaś mu szkołę! — parsknął.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy na ty? — zapytała powoli kobieta.

— Oczywiście. Mam na imię Patrick.

— Wiem, że masz na imię Patrick. A ja mam na imię Lucille.

— Wiem, że masz na imię Lucille. Czy twój mąż, to ten... kompozytor?

— Tak.

— I gdzie jest teraz?

— Nagrywa muzykę do filmu.

Patrick O'Brien spojrzął w sufit, który niby był tylko sufitem, a przecież kilkanaście centymetrów wyżej zaczynała się podłoga salonu Napoleona.

Lucille kojarzyła bezbłędnie.

— Och, nie — zaprzeczyła podążając za wzrokiem perkusisty. — Jego film — miała na myśli ostatnie dzieło Polaka — jest dopiero na stole montażowym. Jean nagrywa w Amsterdamie muzykę do jakiegoś telewizyjnego serialu.

— I kiedy wraca? — zapytał Patrick brutalnie.

— Jutro — odparła z tą samą brutalnością Lucille.

Patrick przeklął pigułkę za wodu, otrzymując na pociechę nikły, wielce zagadkowy uśmiech.

— Biedny Jean jest strasznie zapracowany. Przyjeżdża tylko na tydzień, a potem, drugiego września, musi lecieć służbowo do Londynu.

Wzrok perkusisty znowu spoczął na suficie. Bóg mu sprzyja, podtrzymuje swój werdykt, kieruje jego krokami, tak jak kierował nimi przedtem, w kuchni, w mieszkaniu Patricka. Najpierw była makabryczna kabała: — Jego czy moje? Potem spadła mu wprost z nieba ta atrakcyjna bez wątpienia madame. Wreszcie spotkał na schodach tego diabła, tego gwałciciela i upiara, który uwiódł mu Korsykę i posłał w jej łonie szatański miot.

A mleko? Patrick miał swoją teorię na temat mleka. Zobaczywszy je na klatce schodowej tego pięknego domu pomyślał, że jest to kolejny sygnał od Boga, który prowadzi go prostą drogą ku sprawiedliwej zemście.

Zginiesz, bandyto! — mówił nie poruszając ustami i patrzył w sufit, który był jednocześnie podłogą. Patrzył długo i uporczywie, mrużąc wodniste, nieobecne oczy i zagryzając wargi zdrowymi, białymi zębami z takim namaszczeniem i siłą, jakby nagrywał akuraty w studiu na płytę jakiegoś wielce skomplikowanego solo.

— Spisz? — zapytała drwiąco kobieta.

— Nie — odburknął i zrelektował się w stylu rasowego podrywacza: — A ty?

Odpowiedź padła z pewnym opóźnieniem:

— Chyba jeszcze na to za wcześnie. Chyba jeszcze napijemy się scotch.

— Jasne — powiedział Patrick. — Napijemy się scotch.

— Bez wody sodowej oczywiście?

— Oczywiście.

— Ale z kosteczką lodu?

— Nie. Tym razem bez lodu. Mój dziadek Irlandczyk mawiał, że lód i woda są tak same

mo niepotrzebne w szklance dobrej whisky, jak lód i woda w butach.

— Twój dziadek był mądrym człowiekiem, Patricku.

— Dziękuję w imieniu dziadka.

Obdarzył ją uśmiechem swoich mocnych, białych zębów i swoich szerokich, zmysłowych ust. Wiedział, że musi poświęcić teraz dziewczynie całą uwagę. Wiedział, że musi ją zdobyć — i chciał ją zdobyć — a potem... potem... plan był w zasadzie gotowy.

Rozparł się wygodnie na kanapie, pociągnął łyk z ciężkiej kryształowej szklanki i obserwował kobietę, która siedziała w głębokim fotelu za barkiem. Berek dzielił ich, ale miał tę zaletę, że był na kółkach i że można go było przestawić. Patrick zrobił to wprawdzie i bez nadmiernego wysiłku, nie jednym palcem wszelako, dywan bowiem nie jest najlepszą nawierzchnią dla pijackich wchikulów.

Widział teraz kolana kobiety — kragie, opalone, bezwłosie, rozchylone leciutko, niewinne i jednocześnie prowokujące. Wyciągnął rękę, jakby zamierzał ich dotknąć.

— Szkoda, że dałaś mu tego Clifforda — powiedział.

— A chciałbyś go jeszcze posłuchać?

— Bardzo.

— Okey.

Wstała, podeszła do regału o miniaturowych półkach, na których kasety tkwiły grzbietami do góry jak miniaturowe dzieła poetyckie. Wytuskała pewnym ruchem taśmę, wcisnęła ją do graj-maszyny i genialny amerykański trębacz, którego talent przepadł na wieki w katastrofie samochodowej, znowu zaczął sypać periami nut.

— Jesteś wspaniałal! — krzyknął Patrick.

— Ty też.

Te same słowa powtórzyli sobie o czwartej nad ranem, tyle że nie w salonie, a w sypialni państwa Jean et Lucille Legrand. O szóstej ubraną już Patrick słuchał szmeru windy, która zatrzymywała się na piętrach z cichym stukotem po to, aby konsjerżka, kochana madame Mathilde, mogła zostawić pod drzwiami swoich sześciu głównych lokatorów świeże pieczywo, świeże mleko i świeże gazety. O siódmej Patrick pocałował zasypiającą kochankę i opuścił jej luksusowy apartament na osiem długich dni.

Zawołał windę. Nim zjechał na parter, poszybował na czwarcie piętro, aby stwierdzić z zadowoleniem, iż Napoleon nie jest bynajmniej wrogiem mleka.

Wymknął się niezauważenie na ulicę. Plan zbrodni był dopięty we wszystkich szczegółach.

— Módl się, bandyto — mruknął zapalając drżącymi rękami papierosa. — Zegar twego plugawego życia dobiega kresu.

Los Angeles

W środę, 1 lutego 1978 roku o godzinie dziewiątej rano, kiedy to sędzia, mąż zaiste pyśkaty i srogi, miał ostatecznie osądzić Napoleona i posłać go na parę lat za kratki, obrońca oskarżonego, nie bez pewnego zakłopotania wszelako, oświadczył w sali sądowej wobec przedstawicieli prawa i reporterów, iż otrzymał był niedawno anonimowy telefon, że Napoleon opuścił Stany Zjednoczone udając się w nieznanym mu doprawdy kierunku.

Sędzia zzieleniał w sensie dosłownym, po czym tracąc wyraźnie na elokwencji, jęknął się, chrypiąc i belkocząc, krzycał osłinnymi ustami, że osądził Polaka zaocznie, że już i mieścił wyda na niego wyrok.

Wystąpienie sędziego było tak żalonne, że nawet prokurator, też w końcu wystawiony luźną do wiatru, uśmiechał się zjadliwie, dziennikarze zaś rechotali bez skrępowania.

— Jak pan teraz wygląda, panie sędzi?

— Rok pańskiej pracy poszedł na marne.

— Za co właściwie panu płacą?

— Co pan powie dzisiaj przy obiedzie swojej żonie i dzieciom?

— Facet zdrwił z panal

— Zrobił pana na szaro!

— Wstyd!

— Ha! ha!

— Gdzie pańskie słowo?

— Gdzie pańskie laury?

— I po cholere ten bajer, że pan skaże gościa zaocznie?

Sędzia odszczekiwał się stabo.

— Owszem, zrobię to. Możecie mi wierzyć.

— Zaraz, zaraz — powiedział spokojnie adwokat. — Sprzeciwiam się, aby pan sądził mojego nieobecnego klienta. To pańska wina, że nie ma go dzisiaj w tej sali. Pan jest niekompetentny. Pan jest niesprawiedliwy. Pan zignorował raport psychiatrów z Chino. Pan od początku żywił do oskarżonego nienawiść wynikającą z osobistych pobudek. Pan powinien... achi! — mecenas machnął ręką, jakby chciał zabić w locie komara.

Ten sam gest powtórzył w południe sędzia w gabinecie swoich przełożonych. Zgodnie z wcześniejszą wyrocznią Napoleona, płakał prawie z upokorzenia i złości mówiąc, że zrzeka się dalszego prowadzenia sprawy, gdyż ma na warkandzie ważniejsze. Ież to roboty! Ież trudny! Ież szlachetnego znoju! Gdzie mu tam myśleć o jakiejś głupiej, seksualnej aferze, skoro nie brak afer, którym bacznie przyglądają się politycy.

No i sprawa Napoleona została przekazana innemu sędziemu. Ponieważ ten inny nie zdążył jeszcze wciągnąć się w nią, a ten pierwszy zrzęzynował z niej definitywnie, ciężar rozmów z nachalnymi dziennikarzami wziął na siebie prokurator, jęgomość poważny i zadufany.

— Wykryje drania przez Interpol i sprowadzę go w kajdankach do Stanów — powiedział reporterowi dziennika Herald Examiner. — Możecie nie mieć co do tego żadnych złudzeń.

W chwili, kiedy składał to ponure oświadczenie, w Los Angeles była godzina czwarta po południu, w Paryżu zaś zegary kościelne wydzwaniwały północ.

Przebrzmiało ostatnie, dwunaste uderzenie. Napoleon ziewnął szeroko, co o tej późnej porze nie jest jakimś szczególnym przestępstwem, ale się uśmiechał. Towarzystwo reżyserów dziewczę również ziewnęło od ucha do ucha.

— Spać? — zapytał reżyser.

— Spać — odpowiedziało dziewczę.

Dopili to, co zostało w kieliszkach i przenieśli się do pokoju, w którym stał szeroki, wygodny, zasłany czystą pościelą tapczan.

Dziewczyna skrzyżowała ręce i ścisnęła przez głowę wełnianą sukienkę. Polak wyszmatował się z tergalowego garnituru.

Piętro niżej, w apartamencie państwa Jean et Lucille Legrand, a ściślej mówiąc: w ich małżeńskim sypialni (do której półtora roku później, pod

nieobecność pana domu, miał wtargnąć Patrick O'Brien) zaczął lekko drzeć stiukowy sufit.

Monsieur Legrand, znany kompozytor, uniósł brew i spojrzął zdziwiony na żonę.

— Co za cholera? — szepnął. — Może jakiś złodziej?

— Jaki tam złodziej! — parsknęła Lucille. — Nie poznajesz tych odgłosów?

— Ale... przecież facet jest w Stanach.

— Skąd wiesz?

— Czytałem w prasie. Jego mieszkanie powinno być puste, tymczasem ktoś rżnie się tam aż huczy.

— No i w czym ci to przeszkadza, Jean — zaciągnęła stółko Lucille. — Chodź, przylutuj się do mnie! Zrobmy to samol!

Rouen

Statek Polskich Linii Oceanicznych, na którym Robert Walden odbywał swoją lewanatyńską podróż, zawinął w drodze powrotnej, 6 września 1979 roku, do francuskiego portu Rouen z ładunkiem egipskiej bawelny.

Rouen nie jest portem morskim, lecz rzeczny i statek o szybkości piętnastu węzłów musi płynąć tam pod prąd wzdłuż wybrzeża Sekwany około dziewięciu godzin, okolicę jednak są tak piękne, że po monotonii morza zielona delta rzeki wydaje się prawdziwym rajem.

Równie piękny jest port z przylutnymi do nadbrzeża statkami wszystkich bander świata, a miasto, które dzieli od Paryża zaledwie sto kilometrów, może zawiądnąć sercem każdego turysty.

Są w Rouen stare, ciężkie kościoły o szarych murach i ponurych wieżach, na których odmierzają czas średnio-wieczne zegary. Są wąskie, kręte i mroczne uliczki, w których rzadko gości słońce, a jeśli nawet, to przyska tylko tu i ówdzie na chodnik poprzez szpary między domami. Są w tym mieście normandzkie enklawy o litej zabudowie, dość ponure, groźne, zatrącające stęchlizną wieków, ale są też dzielnice elżbietańskie o sędziwych, lecz wesołych kamieniczkach, pomalowanych zwykle na kolor ciemnobrązowy, rozświetlonych krzyżakami belek wciśniętych w ściany od podnóża po dach jak w ciasto.

Patryk miał swoją teorię na temat zbrodni doskonałej. Wykreował w swojej chorej głowie dwa rodzaje takiej zbrodni — zdumiewająco proste i logiczne. Pierwszy nazwał zbrodnią doskonałą wewnętrzną, a drugi zbrodnią doskonałą zewnętrzną.

Zbrodnia doskonała wewnętrzna polega na tym, że na przykład żona (Korsyka?) chce pozbyć się męża. Co robi w tym celu? Czeka. Czeka na złame, czeka na niedzielną, czeka na huśtałki przyjęcie u znajomych. Doczekała się! Przed wyjściem pudrując nos w łazience, krzyczy do męża: — Wstaw wodę na herbatę, kochanie, i pozamykaj wszystkie okna! — Gość wstawia wodę na herbatę i zamyka wszystkie okna, jeśli któreś jest w ogóle otwarte. W godzinę później wychodzą, aby wrócić nad ranem — ona półtrzeźwa, on w dym pijany, ona musi iść do pracy, on jest człowiekiem wolnego zawodu i może spać — musi spać, wali się w ubranie na tapczan i zapada w kamienny sen, tymczasem jego ukochana polowica otwiera w rekawiczkach gaz i nie ściągając z pokrętał odskórow palców, bo byłoby to podejrzane, opuszcza mieszkanie wsłuchując się w złowieszczy syk palnika.

Czekaj na zmierzch.

Pił koniak, palił papierosy, czekał na zmierzch i myślał.

Myślał o zbrodni.

Patrick miał swoją teorię na temat zbrodni doskonałej. Wykreował w swojej chorej głowie dwa rodzaje takiej zbrodni — zdumiewająco proste i logiczne. Pierwszy nazwał zbrodnią doskonałą wewnętrzną, a drugi zbrodnią doskonałą zewnętrzną.

Zbrodnia doskonała wewnętrzna polega na tym, że na przykład żona (Korsyka?) chce pozbyć się męża. Co robi w tym celu? Czeka. Czeka na złame, czeka na niedzielną, czeka na huśtałki przyjęcie u znajomych. Doczekała się! Przed wyjściem pudrując nos w łazience, krzyczy do męża: — Wstaw wodę na herbatę, kochanie, i pozamykaj wszystkie okna! — Gość wstawia wodę na herbatę i zamyka wszystkie okna, jeśli któreś jest w ogóle otwarte. W godzinę później wychodzą, aby wrócić nad ranem — ona półtrzeźwa, on w dym pijany, ona musi iść do pracy, on jest człowiekiem wolnego zawodu i może spać — musi spać, wali się w ubranie na tapczan i zapada w kamienny sen, tymczasem jego ukochana polowica otwiera w rekawiczkach gaz i nie ściągając z pokrętał odskórow palców, bo byłoby to podejrzane, opuszcza mieszkanie wsłuchując się w złowieszczy syk palnika.



rys. Janusz Brymański-Głanc